Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

50 groszy

MAGAZYN POWIEŚCIOWY

50 groszy

Nr. 2

Rok I

EMIL LUDWIG



MUSSOLINI



HITLER

Ponieważ żyłem wśród Niemców i Włochów prawie jednakowo długo, wolno mi może porównać przyczyny i skutki faszyzmu u tych dwóch narodów. Powstanie faszyzmu było we Włoszech trudniejsze, niż w Niemczech. Włosi kochają wolność, Niemcy porządek. Gdy powiedziałem Mussoliniemu, że Niemcy bardziej się do faszyzmu nadają, ale że byliśmy znowu przez 300 lat posłuszni, więc go nie potrzebujemy, odpowiedział mi:

— To prawda. Włosi natomiast stali się zbyt krytyczni, potrzeba im znowu silniejszego autorytetu.

Dlatego musiał narodowi swojemu narzucić faszyzm, zdobywając przemocą stolicę, podczas gdy Niemcy zdecydowali się na niego w drodze wyborów. I mimo wszystkich środków sugestywnych, jakie wpłynęły na te

wybory, faktem pozostaje, że połowa narodu wybrała autorytet, podczas gdy Mussolini miał wokół siebie w roku 1922 tylko niewielu posłów i bez marszu na Rzym, przez same wybory nie mógłby osiągnąć większości. Dlatego właśnie porzucił drogę legalną i rozpętał rewolucję.

Niemcy, nawykli do tego, by nimi rządzono, w roku 1918, gdy zardzewiałe kajdany władzy królewskiej opadły same przez się, stanęli przerażeni wobec faktu, że nagle mieli być wolni; nie mogli wówczas znaleźć przygotowanych mężów, którzy znaliby się na rządzeniu. Dzisiejsi natomiast mężowie mieli czternaście lat czasu, aby się uczyć na błędach socjalistów i czerpać naukę z wzorów włoskich i rosyjskich, które codziennie mieli przed oczyma. Wszystkie formy zewnętrzne przejęli od Włochów.

Z drugiej strony łatwiej jest zrobić z Niemców faszystów, gdyż posiadają oni najlepsze organizacje w świecie: wojsko od góry, cechy od dołu. Posiadają setki grup, związków i stowarzyszeń, gdyż czują się z tem szczęśliwi, gdyż każdy chciałby mieć przełożonego i podwładnego, którzy mu są potrzebni do życia. Podczas gdy Mussolini musiał na nowo zorganizować rolniczą w trzech czwartych Italję, Hitler znalazł w kadrach dawnej armji i w związkach zawodowych cudownie funkcjonujące organy. Ponieważ nowa partja zowie się „narodowymi socjalistami“, masy, które otrzymały nowe hasło i nowy sztandar, spodziewały się spełnienia swoich pragnień; możliwe też jest, że Hitler zbliży się do socjalizmu, jak to czyni Mussolini. W Niemczech rozwinie się dyktatura jednej partji, podobnie jak w Rosji, podczas gdy we Włoszech rządzi dzisiaj naprawdę jeden człowiek, jak się to zawsze działo w historji Włoch. Niemiec czuł się zawsze dumny, że był poddanym króla i członkiem związku religijnego. Hitler osobiście nie osiągnie nigdy władzy Mussoliniego, ale partja jego może się stać tak samo potężna, jak rosyjska.

Po trzecie Hitler miał łatwiejsze zadanie, gdyż Niemcy cierpieli przez skutki porażki. Zwyciężony naród, który wskutek kryzysu światowego znalazł się w rozpaczliwem położeniu, bardziej jest dostępny obietnicom sugestywnego przywódcy ludu, niżeli państwo zwycięskie, które musiało wówczas walczyć wprawdzie z zamieszkami, ale nie z katastrofami. Mussolini mógł swoim poprzednikom zarzucić tylko utratę Fiume, podczas gdy zdobyli oni dopiero co dwie wielkie prowincje; Hitler mógł mówić o straconych prowincjach i doprowadzić ambitny naród do przekonania, że łatwo byłoby je odzyskać. Dodajmy do tego, że Mussolini nie mógł posuwać się naprzód w próżni, przeciwnie, formalnie zachował nadal autorytet króla, podczas gdy Hitler dał Niemcom namiastkę utraconego w roku 1918 autorytetu naczelnego władcy. Mussolini musiał na nowo odbudować w świecie stanowisko Włoch, które zostały w Paryżu źle potraktowane przez sprzymierzonych; Hitler natomiast budował na zdobyczach, które przez czternaście lat zostały dla Niemiec zwolna wywalczone przez Stresemanna i innych ministrów narodowych, i uchwycił ster w chwili, gdy trzy z pośród najważniejszych punktów Traktatu Wersalskiego były już unicestwione dzięki dyplomacji jego poprzedników i wpływowi minionego czasu. Rathenau miał do czynienia z Europą wrogą wobec Niemców, Hitler z przyjazną. Tem wyżej musi zasadniczy przeciwnik faszyzmu postawić sztukę dyplomatyczną Mussoliniego, który potrafił przez dziesięć lat rządzić tak krytycznym narodem. Hitler zastaje naród, którego połowa czuje się szczęśliwa, że może być opanowana, że nie musi już myśleć, wybierać, stawać po czyjejś stronie. Mussolini mógł być w pierwszych latach obalony przez kontrrewolucję, Hitler mógł początkowo utracić władzę jedynie w walce ze swymi sprzymierzeńcami.

Dołącza się do tego militarny duch narodu. Niemiec sam przez się nie jest może bardziej wojowniczy, niż inne narody, lubi tylko zabawę żołnierską, gdyż żyje stale w zwierzchnictwie i poddaństwie. Gdyby republika operowała sztandarami i marszami, oddziałami bojowemi, manewrami i pochodami przy pochodniach, zdobyłaby miljony zwolenników tam, gdzie próba bardziej duchowej odbudowy, rezygnacja z formy i emblematu zmusiła większość Niemców do powątpiewania o żywotności tego ruchu. To, że rząd tych czternastu lat reprezentował myśl prawną, nie dając wyrazu myśli przemocy, zdyskredytowało go w oczach narodu, który od czasów Bismarcka i jeszcze dawniejszych wychowywany był w uwielbieniu przemocy. Wielki symbol tego przewrotu polega na tem, że w roku 1919 w Weimarze nie było wybuchu entuzjazmu, ponieważ Niemcy widzieli w mieście Goethego jedynie dom obcego sprawom świata poety, podczas gdy akt państwowy w Poczdamie wywoływał silniejsze bicie serca u wszystkich, tak bowiem żyli ich żołnierscy królowie.

Dlatego też niebezpieczeństwo jest w Niemczech większe. Gdyby Hitler miał rozwinąć talenty Mussoliniego, to znaczy jak on uniknąć wojny, wątpliwem jest, czy zdoła w pokoju utrzymać ludzi w nowej zbroi, którą im teraz ukuje. Wilhelm II, który wygłaszał tak samo płomienne mowy, a nie chciał wojny, został wreszcie zwyciężony przez swoich generałów. Trudniej też jest utrzymać pobitych Niemców w pokoju, ponieważ odwet, którego pełne są ich pieśni, ma w sobie pozór słuszności, podczas gdy Italja nie potrzebowała myśleć o odwecie. Italja cierpi wskutek ciężarów zbrojeniowych, podczas gdy Niemcy dzięki nowym zbrojeniom zatrudniają miljon bezrobotnych, podnoszą wgórę akcje ciężkiego przemysłu na giełdzie, a tem samem akcje banków, będą więc już za rok budziły pozór dobrobytu. W ten sposób szybko zatraci się w Niemczech resztkę wyrzutów sumienia, jakie przynosi z sobą zawsze utrata wolności. Nie dlatego bowiem nie udała się próba przemienienia Niemców z poddanych w demokratów, że nie mieli oni wodza, ale dlatego, że ta forma państwowa nie odpowiada ich charakterowi, nie mogli znaleźć wodza. Jeżeli przytem nie odbudowali zpowrotem monarchji, to przyczyna leży nie w narodzie, który cieszyłby się, gdyby mógł znowu witać swoich książąt, lecz w niechęci ze strony nowych władców, którzy bynajmniej nie mają ochoty dzielić swojej nawskroś ludowej władzy z reakcyjnymi królami.

Mussoliniemu brak było u jego ludu wszystkich tych instynktów, sprzyjających dyktaturze. Zaskoczył Włochów porządkiem i dyscypliną i począł uczyć ich posłuszeństwa i autorytetu.

— Pragnę, — powiedział do mnie, — wychować Włochy niezupełnie na wzór dawnych Prus, ale jednakże trochę podobnie.

Z tego wyznania, które znajduje się w moich „Rozmowach z Mussolinim“, widać najwyraźniej, o ile łatwiej jest przyzwyczaić Niemców do faszyzmu.

Tak samo stanowisko duchowe w obu krajach jest zupełnie odmienne. Mussolini budował swoją ideologję na dramatach, poezjach i mowach swego współczesnego, wielkiego poety włoskiego. D'Annunzio czerpał swoje idee od Nietz'schego. Dlatego Mussolini czci swego największego poetę, a czołowego swego filozofa, Croce, który

bynajmniej nie jest zwolennikiem jego reżimu, uczynił senatorem. Natomiast w Niemczech ani jedno nazwisko, które dotarło poza granice, nie przyłączyło się dotychczas do ruchu hitlerowskiego. Najbardziej w świecie znane umysły znajdują się w opozycji, a częściowo są prześladowane. Rozdział pomiędzy państwem a duchem, który charakteryzuje historję niemiecką od 500 lat, przejawił się tutaj na nowo. Rzym i Florencja od zamierzchłych czasów były ośrodkami władzy, a zarazem ośrodkami ducha. Chociaż i dzisiaj wielu Włochów duchowych odnosi się niechętnie do reżimu, to jednak taki rozłam, jak między „Poczdamem“ a „Weimarem“ byłby niemożliwy; w Niemczech charakterystyczną wprost jest dysharmonja pomiędzy historją państwa a historją ducha. Ponieważ w Niemczech usadowiła się władza, która — jak za czasów cesarskich — żyje w odosobnieniu od najwybitniejszych umysłów narodu, więc ilość duchowych emigrantów niemieckich będzie nierównie większa, niż włoskich.

Świat będzie się więc musiał niestety przyzwyczaić do odróżniania jednych i drugich Niemiec, które na chwilę zdawały się stapiać z sobą, ale które dzisiaj silniej, niż kiedykolwiek, odsunęły się od siebie. I nie można właściwie powiedzieć, aby to był duch Fryderyka Wielkiego, który przeciwstawia się duchowi Goethego: jest to ideał podoficera, który zwyciężył na nowo i przeciwstawia się ideałowi myślącego cywila. Ponieważ nie jestem uczniem Hegla, nie wierzę w jego zdanie, że wszystko, co jest, jest rozumne.

STRESZCZENIE. Hrabia Rainer Ramberg kocha księżniczkę, siostrę panującego księcia. Dynastyjne jednak względy skłaniają księżniczkę do poślubienia władcy sąsiedniego księstwa. Hrabia Rainer szuka zapomnienia w podróżach i po latach wraca w ojczyste strony. Tu odwiedza nagle ministra księcia hrabiego von Waldowa i prosi o rękę jego córki, swej 18-letniej siostrzenicy. Ona zawsze pełna podziwu dla swego wuja, z radością, jakkolwiek z wewnętrznym niepokojem przyjmuje jego oświadczyny. Hrabia Rainer postanowił zamieszkać w sąsiedztwie na zamku Ramberg, zamieszkiwanym dotychczas przez jego kuzynkę, wdowę po hrabiu Roch. Hrabina Gerlinda Roch dowiaduje się nagle od swego administratora Heilmanna o mającym nastąpić powrocie hrabiego Rainera i na jego przywitanie zmienia poraz pierwszy strój żałoby.



Heilmann zdjął czapkę. Ale na jego twarzy nie widać było zadowolenia z łaski, jaką go obdarzyła, zwracając się do niego tak uprzejmie, jego piękna pani. Znał ją doskonale — może lepiej, niż ktokolwiek inny. Już od wielu, wielu lat mieszkał w Rambergu. Hrabia Roch obdarzał go największem zaufaniem i człowiek ten wiedział dużo więcej o małżeństwie ich i pożyciu hrabiego z hrabiną Gerlindą, niż ktokolwiek z ich otoczenia. Twarz administratora była niewzruszona.

— Daję sobie radę, pani hrabino. Zresztą pan hrabia wraca już wieczornym pociągiem do domu.

— Skąd pan wie o tem?

— Przed dwiema godzinami otrzymałem telegram, żebym posłał powóz na stację. Właśnie chcę kazać zaprzęgać.

— Przed dwiema godzinami, powiada pan, nadszedł telegram?

— Tak, pani hrabino.

Uprzejmość zniknęła z twarzy hrabiny. Patrzała dumnie i gniewnie.

— Dlaczego nie zameldowano mi, że pan hrabia przyjeżdża?

— Pan hrabia nie dał mi w tym względzie żadnego polecenia, depeszował tylko, żebym posłał powóz na stację.

— Ale to się rozumie samo przez się, że trzeba mi to zameldować, — rzekła hrabina rozkazująco.

Heilmann stanął w służbowej postawie.

— Czynię, co należy do mojego obowiązku, jaśnie pani hrabino, o poza tem myślałem, że pani hrabina wie o przyjeździe pana hrabiego.

Hrabina zagryzła wargi. Denerwowało ją zachowanie administratora, któremu jednak nic nie można było zarzucić, a który był jej solą w oku.

— Czy pani hrabina rozkaże coś jeszcze? — zapytał Heilmann spokojnie.

— Nie, — rzekła hrabina twardo i odwróciwszy się poszła do swoich komnat.

Heilmann spoglądał za nią, potrząsając głową z wyrazem, który daleki był od oddania i sympatji, z wyrazem, który raczej mówił, że będzie zadowolony, kiedy już ją nareszcie ujrzy ulokowaną we wdowim domu.

ROZDZIAŁ 6

Hrabina po wymianie słów z Heilmannem udała się szybko do swego buduaru. Rzuciła okiem na czarną dżetową bransoletę, która opasywała delikatny przegub jej dłoni, uwydatniając śnieżną biel skóry.

Zadzwoniła gwałtownie na swą garderobianę. Kiedy się zjawiła, hrabina rozkazała:

— Proszę mi przygotować tę nową białą suknię jedwabną z czarną aksamitną szarfą. Chcę się przebrać do kolacji.

Oczy ładnej dziewczyny rozbłysły:

— W tej chwili, jaśnie pani hrabino! A jakie pantofle, czarne czy białe?

— Białe, — rzekła hrabina. — Czy wszystkie moje toalety są gotowe, Anno? Od dziś przestaję nosić żałobę.

— Wszystkie są gotowe, jaśnie pani hrabino.

— Dobrze. W pierwszych tygodniach będę naturalnie nosić tylko białe toalety z czarnem przybraniem. Potem stopniowo zacznę nosić rzeczy kolorowe. A teraz proszę się pośpieszyć. Musi mi jeszcze Anna zmienić fryzurę. Najdalej w ciągu godziny chcę być gotowa.

Garderobiana dygnęła i pośpieszyła do szatni hrabiny, żeby wszystko zebrać i przygotować. Po jej ustach błąkał się przebiegły uśmiech.

W kwadrans później siedziała hrabina Gerlinda przed swoją toaletą, a garderobiana przebierała w szyldkretowych, złotem inkrustowanych przyborach toaletowych, należących do hrabiny.

Następnie dziewczyna włożyła hrabinie białe jedwabne cieniutkie jak pajęczyna pończochy i wytworne białe pantofelki. W końcu narzuciła zręcznemi rękoma żądaną suknię na koronkowe dessous. Spłynęła ona po cudnych, smukłych kształtach hrabiny, w pięknych, miękkich fałdach, spowijając białą chmurą uroczą postać. Wąski pas dekoltu, a także wysmukła szyja pozostały odsłonięte. Cudnie ukształtowane śnieżnobiałe ręce były także gołe od łokcia. Wokoło smukłej kibici wiła się czarna szarfa, której końce zwisały ztyłu wzdłuż sukni, jako jedyne wspomnienie minionej już żałoby.

Wreszcie toaleta była ku zadowoleniu hrabiny gotowa. Z dumnie błyszczącemi oczyma i zwycięskim uśmiechem przyglądała się hrabina swemu odbiciu w lustrze.

W chwili, kiedy się zwolna odwracała od lustra, Anna rzekła:

— Właśnie w tej chwili zajechał pan hrabia, widziałam przez okno.

Hrabina skinęła łaskawie i dobrze usposobiona rzekła do dziewczyny:

— Czarne suknie zostaną teraz usunięte z mojej szatni. Może je Anna wziąć dla siebie.

Pokojówka nie miała zamiaru przerabiać tych drogich sukien dla siebie. Pośle je do Berlina do pewnej firmy, gdzie tego rodzaju toalety chętnie były zakupywane przez artystki. Anna uzyskiwała za nie dobrą cenę, a ponieważ hrabina była dość rozrzutna pod względem strojów i nigdy długo nie nosiła jednej sukni, przeto jej garderobiana miała z tego niezły dochód. Ale wiedziała, że to się skończy z chwilą, kiedy hrabina przeniesie się do wdowiego domu. Narazie hrabia Rainer wypłacał jej rentę, jaka przysługiwała pani zamku.

I Annie więc zależało na tem, żeby jej pani po raz drugi zajęła tron w Rambergu.

Tymczasem jednak wszystkie te plany i zamiary, nadzieje i oczekiwania, które się łączyły z osobą hrabiego, zostały obrócone wniwecz.

ROZDZIAŁ 7

Hrabina Gerlinda siedziała wystrojona na fotelu w swoim błękitnym salonie, trzymając w pięknych dłoniach książkę. Stopy oparła o mosiężną kratę marmurowego kominka.

Czekała na hrabiego Rainera.

Minęło już przeszło pół godziny od jego powrotu do domu, a jeszcze się jej nie pokazał; coprawda wiedziała, że przestrzegał względem niej wszelkich form i nigdyby nie przestąpił progów jej salonu w podróżnem ubraniu, domyślała się więc, że się przebierał, — mimo to jej nerwy były napięte do niemożliwości, a minuty dłużyły się, jak wieczność.

Kiedy już zdenerwowanie jej doszło do szczytu, usłyszała wreszcie zbliżające się szybkie, elastyczne kroki. Poprawiła się w fotelu, nasłuchując. Czy się czasem nie myli? Ale nie, oto już lokaj otwiera drzwi i melduje hrabiego.

Z promieniejącą twarzą podszedł hrabia do pięknej kobiety. Hrabina, uśmiechając się uroczo, wyciągnęła doń rękę.

— Nareszcie wracasz, kochany kuzynie! Tak mnie swoją obecnością rozpieściłeś, że podczas tych kilku dni, kiedy cię tu nie było, czułam się strasznie osamotniona i opuszczona, — rzekła tym łagodnym, miłym tonem, który umiała przybierać, kiedy jej na tem zależało.

Wzrok hrabiego z zadowoleniem ślizgał się po jej postaci.

— Cieszę się bardzo, Gerlindo, że cię widzę w białej sukni, po raz pierwszy nie w żałobie. Przyjmuję to jako dobry omen dla mnie, — rzekł całując serdecznie jej dłoń.

— Pod jakim względem dobry omen, kuzynie?

— Tego się zaraz dowiesz! Ale przedewszystkiem powiedz mi, jak się czujesz?

Hrabina uśmiechnęła się słodko:

— Doskonale, z chwilą gdy tylko wróciłeś do Rambergu. Byłam bardzo zasmucona tem, żeś tak nagle odjechał bez pożegnania, i strasznie się nudziłam.

— Musisz mi to wybaczyć, Gerlindo. Dopiero nad ranem postanowiłem jechać nieodwołalnie, a nie chciałem ci tak wcześnie przeszkadzać.

— Gdzie byłeś?

— W rezydencji.

— O! A ja myślałam, że pojechałeś do Berlina odwiedzić Henninga. Czy miałeś coś ważnego do załatwienia w rezydencji, czy też odwiedziłeś tylko swego przyjaciela Ekscelencję Waldowa?

— I jedno i drugie, Gerlindo. Zaraz się dowiesz wszystkiego.

— Proszę, siadaj... masz przecież trochę czasu dla mnie? Liczyłam godziny do twego powrotu, o którym

nie wiedziałam wcale, kiedy nastąpi. A ten nieznośny Heilmann nawet mi nie zameldował, że nadeszła depesza, zawiadamiająca o twoim przyjeździe. Tylko przypadkowo dowiedziałam się o tem od niego, kiedy kazał zaprzęgać powóz dla ciebie, — żartowała hrabina z zadąsaną minką.

Hrabia usiadł. Jego łagodne oczy spoglądały życzliwie i przyjaźnie w jej twarz:

— Heilmann nie przypuszczał, że cię tak interesuje mój powrót, w przeciwnym razie natychmiastby ci zameldował.

— Na pewno nie. Heilmann jest wstrętnym, mrukliwym człowiekiem, który sobie nie lubi zadawać trudu, — rzekła ze złością hrabina.

Hrabia roześmiał się:

— O nie, Gerlindo, gniew cię ponosi. Heilmann jest niezmordowanie czynny i nigdy w pracy się nie leni. O tem ja mogę lepiej sądzić niż ty. Jest tylko człowiekiem nieco szorstkim i trochę nieprzystępnym, ale za to wiernym i uczciwym aż do przesady. Gdybyś słyszała, z jakiem oddaniem mówi o twoim zmarłym małżonku!

— Tak, tak... był ulubieńcem Rocha, ale zostawmy ten temat, jest absolutnie nieciekawy!

Hrabia Rainer skinął głową.

— Pozwól mi jeszcze raz wyrazić radość i zadowolenie, że właśnie dziś ujrzałem cię w tej jasnej sukni. Wiem przecież, jak trudno ci było zdjąć żałobę, gdyż żyłaś z Rochem w takiej harmonji, a śmierć jego była dla ciebie bolesną, niepowetowaną stratą. Ale jesteś jeszcze za młoda, żeby całe życie przetrwać w żałobie, a czas goi największy nawet ból.

Hrabina westchnęła głęboko i rzuciła smutne spojrzenie.

— To domniemane szczęście było tylko złudzeniem, mój drogi kuzynie. Całe szczęście naszego małżeństwa polegało na tem, że byliśmy sobie zbyt obojętni, żeby się kłócić.

Hrabia Rainer potrząsnął niedowierzająco głową.

— Tego nie mogę zrozumieć. Przypominam sobie dokładnie, jak kiedyś Roch z objawami największej miłości mówił mi o tem, jak on cię ubóstwia i jak szczęśliwym się czuje, że zostajesz jego żoną. Było to kilka dni przed waszym ślubem.

Hrabina wzruszyła ramionami.

— Tak, tak... był kiedyś we mnie zakochany... jak i w wielu innych prócz mnie. Słomiany ogień! Wydano mnie zamąż, jak to jest w zwyczaju w naszych sferach. Miałam konieczne dane na panią majoratu Ramberskiego, a Roch był bogaty i posiadał olbrzymie dobra. Nie czyniliśmy sobie nazwajem nic złego, ani też nic dobrego. Takiem było nasze „szczęśliwe małżeństwo“.

Hrabia Rainer przysłuchiwał się w zamyśleniu. Pomyślał o Joście. Czy i ona nie wychodzi za niego z tych samych pobudek?

Odrzucił od siebie te myśli, jako nadto bolesne.

— A twoja głęboka żałoba po śmierci Rocha, Gerlindo?

Hrabina znów westchnęła ze smutkiem.

— Odnosiła się ona do mojej straconej młodości, Rainerze. No, i było mi zresztą żal Rocha, że umarł tak wcześnie. Przyzwyczajenie też stwarza mocne więzy. I wiele innych jeszcze spraw mnie przygnębiało, to wszystko razem...

Hrabia potrząsnął głową:

— Jakie to dziwne! Ja miałem zupełnie inne wrażenie... Trudno mi wprost uwierzyć, że Roch nie kochał cię.

Przypomniał sobie słowa Heilmanna, który powiedział kiedyś, że hrabia Roch zanadto kochał swoją małżonkę, że kochał ją do nieprzytomności.

— A jednak tak było, Rainerze.

— A ty, Gerlindo, w takim razie i co do ciebie się pomyliłem! Coprawda trudno jest przejrzeć kobietę, szczególnie wtedy, kiedy nie chce, żeby ją przejrzano.

Hrabina przesunęła dłonią po oczach, jakgdyby chciała usunąć coś przykrego.

— Przecież nie chciałoby się we wszystkich wzbudzać litości. Na to byłam za dumna. Dlatego wobec wszystkich uchodziłam za szczęśliwą małżonkę, jaką w duszy pragnęłabym być.

Słowa te z trudem przechodziły przez bólem ściśnięte wargi, czem wzbudziła w nim wielką litość. Hrabia ujął jej dłoń, przyciągnął do ust i rzekł czule:

— Biedna Gerlindo! Przecież ty jesteś naprawdę stworzona, by być szczęśliwą i uszczęśliwiać; jesteś piękna, mądra i ujmująca tak myślami, jak i uczuciem. Jeżeli tak mało szczęścia znalazłaś w małżeństwie, to powinnaś to sobie w przyszłości powetować.

Hrabina utkwiła głębokie spojrzenie w oczach mężczyzny, i o mało nie krzyknęła z radości, że tak czule na nie odpowiedział. Ponieważ pragnęła, żeby ją kochał, chętnie przyjmowała to ciepło na swoją korzyść. Była już pewną, że nietrudno jej będzie zdobyć go na zawsze.

— Tak, drogi Rainerze, masz rację. I ja zrobiłam to spostrzeżenie, że życie pozostało mi dużo winne. To uczucie coprawda zbudziło się we mnie dopiero w ostatnich miesiącach. Zrezygnowałam już zupełnie. Dopiero od czasu, gdy ty zbliżyłeś się do mnie i zająłeś się mną tak troskliwie, wzbudziło się we mnie zainteresowanie dla życia. Stałeś się moim kochanym, wiernym przyjacielem i podzielasz moje duchowe potrzeby. Roch miał tylko zainteresowanie dla koni, sportu, i może jeszcze dla ładnych kobiet. W gruncie rzeczy był to bardzo płytki człowiek.

Rainera uderzyło niemile, że Gerlinda mówi w ten sposób o swoim zmarłym mężu. Po raz pierwszy uczuł do niej niechęć, chociaż w duchu tłumaczył ją, że przemawia przez nią żal za złamaną młodość wskutek nieszczęśliwego małżeństwa.

— Nigdy nie uważałem Rocha za płytkiego człowieka, Gerlindo. Jesteś może nieco zgorzkniała. Musisz się starać zapomnieć. A co tylko będzie w mej mocy, zrobię, by ci w tem dopomóc.

Gerlinda zrozumiała te słowa zupełnie fałszywie, i to tak, jak ona tego pragnęła. Z rozpromienionym wzrokiem podała mu rękę.

— Dziękuję ci, Rainerze, przyjmuję twoją pomoc z wdzięcznością.

Hrabia pozostał swobodny i rzekł serdecznie:

— I jeszcze ktoś dopomoże ci w tem.

— Co przez to rozumiesz?

— Zaraz się dowiesz, Gerlindo. Przed chwilą powiedziałem ci, iż uważałem to dla siebie za dobry omen, że po powrocie do domu ujrzałem cię w uroczystej białej szacie, i że żałoba została usunięta z zamku Ramberskiego. Gdyż zamek znowu otrzyma panią.

Gerlinda czuła bicie serca, aż w gardle. Czyżby jej pragnienia tak szybko miały się ziścić? Była pewna, że jego słowa odnoszą się do niej.

— Panią? — bełkotała zmieszana.

— Tak, Gerlindo, — rzekł hrabia, ujmując jej rękę ciepłym uściskiem, że aż hrabina w duchu szalała z radości — jestem zaręczony.

Gdyby piorun uderzył przed nią, nie przeraziłaby się tak, jak w tej chwili. Wyrwała dłoń z jego ręki i szarpnęła się wstecz.

— Nie, nie, to nieprawda! — krzyknęła, a wargi jej i twarz pokryły się śmiertelną bladością.

Hrabia Rainer zmieszał się nieco.

— Jak widzę, bardzo cię zaskoczyła ta niespodzianka, Gerlindo. Gdy się stary kawaler wreszcie zdecyduje spełnić swój obowiązek, to wszyscy wpadają w zdumienie.

Hrabina Gerlinda wciąż jeszcze nie mogła się opanować, z jej oczu strzelały płomienie:

— To nie może być! To jest przecież niemożliwe! — wydarło się z jej warg.

Hrabia przeraził się. Spokój opuścił go. Ale prawdziwa przyczyna rozpaczy Gerlindy pozostała mu obca. Myślał, że przeraziła ją konieczność przeniesienia się do wdowiego domu. Że uczyni to niechętnie, o tem wiedział. Dość często mówiła mu, jak bardzo się tego boi.

— Dlaczego to nie może być, Gerlindo? — zapytał łagodnie.

Hrabina opadła bez sił na fotel i przycisnęła koronkową chusteczkę do ust, jakgdyby chciała w sobie zdusić okrzyk. Teraz czuła, jak bardzo i silnie kochała tego człowieka.

— Dlaczego? Mój Boże... jestem tak zaskoczona, tak oszołomiona... ja myślałam... tak... myślałam... przecież wiem, że ty... że ty... kochasz księżnę Helenę... — bełkotała, chcąc się wytłumaczyć ze swego zmieszania.

Hrabia poderwał się. Jego oczy spojrzały surowo, prawie groźnie.

— Kto ci to powiedział, Gerlindo? Tej tajemnicy mego serca nie znał żaden człowiek, prócz tych, którzy brali w niej udział. Muszę wiedzieć, kto ci to powiedział, Gerlindo!

Hrabina załamała ręce. Teraz widziała, jakie palnęła głupstwo w tem nieopanowaniu. Tę wiadomość o miłości Rainera do księżnej Heleny zdobyła Gerlinda niebardzo czystą drogą. Pewnego dnia zakradła się do gabinetu Rainera i przetrząsnęła szuflady biurka. Wpadł jej przytem do rąk list księżnej Heleny, był to pożegnalny list do hrabiego. I ten właśnie list przeczytała Gerlinda. Teraz z lękiem szukała sposobu wytłumaczenia się.

— Roch zdradził mi pewnego dnia tę tajemnicę, że kochasz księżnę Helenę i że byłeś z nią potajemnie zaręczony.

Hrabia ciągle jeszcze patrzał na nią blady i groźny.

— Roch? Skąd Roch wiedział o tem? Ja mu o tem nigdy nie mówiłem. Nawet rodzony brat nie znał imienia kobiety, do której należało moje serce. Dałem słowo honoru, że imienia tego nigdy nie wypowiedzą moje wargi.

Hrabina wiedziała, że teraz tylko największy spokój i stanowczość mogą ją uchronić od zarzutu, iż jest szpiegiem. To, że fałszywie oskarża swego zmarłego męża, nie przejmowało jej.

— Roch znalazł pewnego dnia na twojem biurku list księżnej Heleny, zdaje się, że to było wtedy, kiedy cię odwiedził w Schellingen. I ten list częściowo przeczytał...

Hrabia Rainer zagryzł wargi.

Nie mógł sobie przypomnieć, żeby w owym czasie zostawił list na biurku. Leżał może tylko przez krótką chwilę i nieszczęśliwy przypadek zrządził, że Roch akurat wtedy wszedł do pokoju.

— Jeżeli wiesz już tyle, — rzekł hrabia po chwili milczenia, — mogę ci jeszcze powiedzieć, że rzeczywiście byłem z księżną Heleną potajemnie zaręczony. Mieliśmy nadzieję otrzymać zezwolenie panującego księcia na nasz związek; ale wtedy dowiedzieliśmy się, że książę właśnie przyrzekł rękę swojej siostry arcyksięciu. Musieliśmy się poddać gorzkiej konieczności. Rozstaliśmy się z rozpaczą w sercach. Dlatego żyłem dotychczas w samotności. Tak więc, Gerlindo, wiesz teraz wszystko i jeszcze raz cię proszę o zachowanie najściślejszej dyskrecji. Ta historja musi pozostać w tajemnicy. Zrozum, że nawet mojej narzeczonej nie powiedziałem o tem ani słowa.

Hrabina Gerlinda słuchała jego słów w jakiemś tępem odrętwieniu. Kiedy niebezpieczeństwo zdradzenia się zostało zażegnane, cały ten miniony epizod z jego życia nie miał dla niej żadnego znaczenia. Znów wstrząsnęło nią przerażenie, kiedy usłyszała słowo „narzeczona".

— Będę naturalnie milczeć. Ale jeszcze mi nie powiedziałeś, z kim jesteś zaręczony.

Rysy hrabiego rozprężyły się. Przesunął ręką po czole i uśmiechnął się.

— Rzeczywiście, Gerlindo, wskutek tego zdenerwowania zapomniałem o tem. Moją narzeczoną jest Josta Waldow, córka ministra.

Hrabina znów się zerwała:

— Przecież to niemożliwe!

Hrabia spojrzał na nią z niedowierzaniem, potrząsając głową:

— Nie rozumiem cię. Niemożliwe? Mówisz to już po raz drugi. Dlaczegóż to moje zaręczyny wydają ci się taką niemożliwością?

Gerlinda zmusiła się z całym wysiłkiem do spokoju:

— Przecież Josta jest jeszcze dzieckiem w porównaniu z tobą, nazywa cię wujem Rainerem. Kiedy o niej mówisz, to brzmi to tak, jak gdy wujek mówi o dziecku.

Coś drgnęło w jego twarzy, jak gdyby ten zarzut był mu przykry:

— Jest to stare przyzwyczajenie Josty, jeszcze z czasów jej dzieciństwa. Dlatego to masz o niej fałszywe pojęcie. Ona ma już dwadzieścia jeden lat.

Zły ognik zamigotał w oczach Gerlindy.

— W stosunku do ciebie jest twoja narzeczona jeszcze dzieckiem. Siedemnaście lat różnicy między mężem a żoną, to bardzo dużo. Okazałeś dużo odwagi, Rainerze, wiążąc ze sobą takie młode stworzenie, — rzekła hrabina, zwolna cedząc słowa. Z największym wysiłkiem zmuszała się do spokojnego, łagodnego tonu. — Nie idzie tyle o lata, które są między wami. Prawdziwa miłość zwalcza większe przeszkody. Ale ty nie kochasz panny von Waldow, a i ona ma dla ciebie uczucie młodego dziewczęcia do dobrego, starego wujaszka. Nie kocha ona w tobie mężczyzny, do któregoby należała duszą i ciałem. I dlatego mówię ci jako doświadczona kobieta, że małżeństwo bez miłości to męczarnia bez granic.

Kiedy umilkła, hrabia Rainer spojrzał na nią z powagą.

— Droga Gerlindo, potrafię to ocenić, że mówisz ze mną, jak prawdziwy, pragnący mego dobra przyjaciel. Dziękuję ci za to, gdyż rozumiem, że to przezwycię-

żenie kosztowało cię wiele. Mogłabyś przecież bez kłopotu powinszować mi szczęścia i koniec.

— Nie, zanadto cenię naszą przyjaźń, Rainerze, — odparła hrabina napozór głęboko wzruszona.

Hrabia był zbyt uczciwy i prostolinijny, żeby przejrzeć jej fałszywą grę. Cenił w niej wysoko to, że nie zważając na nic, upomniała go, jak prawdziwy przyaciel.

Spojrzał na nią wymownym wzrokiem.

— Lękam się o twoje szczęście, Rainerze, — rzekła hrabina.

Czuł się nieswojo, słuchając tych słów. Toć sam wątpił w swoje, a szczególnie w Josty szczęście. Ale odrzucił od siebie z energją te ponure myśli. Gorące pragnienie, aby się stać szczęśliwym i uczynić Jostę szczęśliwą, było w nim zbyt silne.

— Wszystko skończy się lepiej, aniżeli ci się zdaje, Gerlindo, a nic się już zmienić nie da. Nasze zaręczyny są już ogłoszone; zawiadomienia rozesłane. Ciebie chciałem osobiście zawiadomić. Także książę i jego małżonka przyjęli już nas i złożyli nam życzenia. A zaręczyny nasze odbędą się oficjalnie piętnastego maja. Minister ma zobowiązania względem towarzystwa i żądał uroczystych zaręczyn. I proszę cię bardzo, byś i ty wzięła udział w tej uroczystości.

Hrabina poruszyła się:

— Ja? Nie, tego nie możesz wymagać, — rzekła twardo.

— Dlaczego nie? — zapytał hrabia.

Gerlinda opanowała się:

— Gdzież ja do takiej wesołej uroczystości? Jestem przecież wdową w żałobie, niczem więcej, — rzekła z goryczą.

— Przecież już zdjęłaś żałobne suknie, Gerlindo! I sama mówiłaś, że żałoba twoja nie była tak głęboka, jakby się zdawało.

Hrabina zagryzła wargi.

— Tak, tak, ale jednak musisz zrozumieć, że w tem odosobnieniu, które trwało cały rok, odwykłam od ludzi. Wybacz mi, że nie mogę przyjąć tego zaproszenia.

Hrabina Gerlinda czuła, że siły jej kończą się. Czuła, że gotowa jest popełnić coś szalonego, jeżeli dłużej jeszcze będzie słuchać jego słów o narzeczonej. Z wysiłkiem podniosła się i zwróciła do niego wybladłą twarz.

— Muszę cię pożegnać, drogi Rainerze. Okropnie rozbolała mnie głowa. Jutro będziemy dalej mówić o tem wszystkiem. Dziś nie jestem w stanie więcej, muszę się udać na spoczynek. Będziesz musiał sam zasiąść do stołu, dobranoc.

Hrabia patrzał na nią z głębokiem współczuciem:

— Ty doprawdy wyglądasz cierpiąco, a cię jeszcze tak długo męczyłem swoją obecnością. Dobrej nocy i życzę polepszenia!

Pocałował ją w rękę, która zimno i ciężko spoczęła w jego dłoni. W milczeniu skinęła mu tylko głową.

Kiedy drzwi zamknęły się za nim, hrabina opadła bez sił na fotel. Ze zmienioną twarzą przycisnęła dłonie do skroni i jęknęła w największej męce.

Jeszcze gorętszą i głębszą stała się jej miłość do Rainera i pragnienie posiadania go. Ale jak wielką była jej miłość, taką też była jej nienawiść ku Jóście, której nawet nie znała. A ta piekielna nienawiść wżarła się głęboko w jej duszę, czyniąc ją twardą i ponurą.

„Drogo musi mi ona zapłacić za tę godzinę! Ona nie może stać się szczęśliwą u jego boku, jeżeli ja nie mam oszaleć. Nigdy nie zazna on szczęścia od innej, jak tylko ode mnie, nigdy!“

ROZDZIAŁ 8

Hrabia, opuściwszy Gerlindę, w zamyśleniu udał się do wschodniego skrzydła zamku. Wszedł do swego gabinetu, otworzył biurko i wyjął z szuflady ów pożegnalny list księżnej Heleny. Przez długie lata strzegł go, jak skarbu, i nie mógł się z nim rozstać. A teraz robił sobie wyrzuty, że go natychmiast po otrzymaniu nie zniszczył.

Zwolna przeczytał jeszcze raz ten list i dawne cierpienia przesunęły się przed nim. Ale nie piekły już one jego duszy. Nowe życie zbudziło się w jego sercu, nowe słodkie życie miał nadzieję wieść u boku Josty. Ale ten list nie powinien się już nigdy dostać w obce ręce. Te oczy, które niedyskretnie spoczęły na nim, są już martwe.

Zapalił świecę i spalił list.

Następnie zadzwonił i wchodzącemu słudze kazał zawezwać administratora Heilmanna.

Chciał z nim omówić niektóre sprawy, nim zasiądzie do stołu.

Myśli jego krążyły jeszcze dokoła rozmowy z hrabiną.

Chciał sobie wytłumaczyć jej dziwne zachowanie. Naturalnie, że trudno jej będzie przenieść się do wdowiego domu. A niemniej trudno jej będzie rozstawać się z rodzinną biżuterją. Serca kobiece przywiązują się do klejnotów. Żal mu było odbierać jej wszystko, co dotychczas mogła uważać za swoją własność. Ale Gerlinda była, tak mu się zdawało, szlachetną, wielkoduszną kobietą.

Jak to szlachetnie było z jej strony, że tak gorąco przejęła się jego zaręczynami. I mimo, że Josta zabiera jej wiele, mimo, że jej nie znała, jakże ujęła się za nią, robiąc mu wyrzuty, że żeni się z nią bez miłości! O, o to nie ma się co kłopotać! Serce jego biło ku przyszłej młodej małżonce wcale nie zimno i spokojnie, jakby się hrabinie zdawało.

I w wielkiej tęsknocie myśli jego pobiegły ku Jóście.

Dopiero wejście Heilmanna przerwało jego marzenia.

— To pan, panie administratorze! Czy wszystko szło dobrze podczas mojej nieobecności?

Twarz Heilmanna rozjaśniła się. Uścisnął wyciągniętą ku sobie dłoń hrabiego.

— Wszystko w jaknajlepszym porządku, panie hrabio. Pole buraczane już uprawione, kukurydza i gryka zasiane. A drwale wzięli się do roboty. Już tak potrochu możemy się zacząć przygotowywać do sianożęcia.

— Widzi pan, musiałem tak nagle wyjechać, a teraz ma pan przed sobą narzeczonego, panie administratorze. Zaręczyłem się z baronówną Jostą von Waldow. Może pan o tem zawiadomić jutro domowników, — rzekł hrabia.

Oczy Heilmanna rozbłysły szczerą radością.

— To dla nas wszystkich radosna nowina, panie hrabio. Pozwolę sobie najuniżeniej złożyć życzenia szczęścia.

— Dziękuję, drogi Heilmannie. Proszę, niech pan siada, muszę z panem niektóre rzeczy omówić. A więc przysporzę panu nieco roboty. W przyszłym tygodniu musi być doprowadzony do porządku dom wdowi i jak tylko przeniesie się tam pani hrabina, będzie trzeba i w zamku coś niecoś zmienić. Dziesiątego lipca odbędzie się mój ślub, a chcę przed powrotem z podróży poślubnej, co nastąpi w początkach sierpnia, odświeżyć pokoje w zachodniem skrzydle pałacu. W pokojach

mojej małżonki, obecnie należących do hrabiny, muszą być dokonane pewne przeróbki. Omówimy to jeszcze szczegółowo. Czy nie będzie tego panu za dużo?

— Zrobi się wszystko, co trzeba, panie hrabio, — odparł Heilmann.

— Doskonale.

Heilmann zapytał jeszcze z widocznem zadowoleniem:

— Na kiedy życzy sobie pani hrabina, żeby wdowi dom był gotów?

— Nie mówiłem z nią jeszcze o tem. Trudno mi będzie poruszyć ten temat. Ale może w następnych dniach znajdzie się ku temu okazja. Dziś wieczór mogłem tylko krótko zakomunikować jej o moich zaręczynach. Pani hrabina cierpiała na silny ból głowy i musiała się wcześniej położyć.

Heilmann miał w swoich myślach wyrobione pojęcie o tym bólu głowy. Ale nie zdradził się z tem. Cieszył się tylko bardzo, że zamek Ramberg będzie miał nową panią.

Rozmawiali jeszcze jakiś czas, poczem Heilmann opuścił hrabiego.

ROZDZIAŁ 9

Następnego ranka wyglądała hrabina Gerlinda bardzo blado i mizernie. Pod oczyma miała ciemne kręgi, które świadczyły o mękach, jakie tej nocy przecierpiała. Doszła do przekonania, że nic nie zdoła uczynić, by rozerwać więzy narzeczeńskie hrabiego Rainera. Ale w tej rezygnacji tlił przytłumiony ogień, który spalał wszystko, co jeszcze szlachetnego i dobrego było w jej duszy.

Jedyną miała jednak pociechę w tym strasznym smutku, że związek ten nastąpił nie z miłości. I co tylko będzie w jej mocy, zrobi, żeby małżonków coraz bardziej i bardziej od siebie odsunąć. I nadejdzie może dzień, kiedy hrabia poczuje się w związku z Jostą nieszczęśliwy, zatęskni może za wolnością, a wtedy...

W dzikiej tęsknocie wyciągnęła przed siebie ramiona.

Hrabia Rainer i hrabina Gerlinda spotkali się zwykle dopiero przy obiedzie. Przed obiadem bywał hrabia bardzo zajęty, wyjeżdżał w pole, miewał ważne konferencje, a śniadanie jadał zawsze sam. Był przyzwyczajony do ciągłej pracy i lubił ją dla niej samej.

Hrabina też była zwykle zajęta przed obiadem, ale w inny sposób. Godzinami była zajęta pielęgnacją swojej piękności. Kąpiele, manicure, masaże ciała i twarzy i różnego rodzaju gimnastyka, by utrzymać w smukłości skłonne już do tycia kształty, zatrudniały godzinami jej służbę.

Dopiero przy obiedzie hrabia Rainer spotkał Gerlindę. Z żalem spostrzegł, jak była blada i jak matowy stał się jej wzrok. Przytem wydawała mu się jeszcze piękniejsza, niż zwykle, i musiał ją podziwiać. Ze współczuciem zapytał, jak się czuje. Odpowiedziała mu przyjaźnie, ze swym dawnym, miłym uśmiechem.

— Cieszę się, że cię już głowa przestała boleć, Gerlindo, — rzekł Rainer serdecznie.

Hrabina uśmiechnęła się:

— Ten ból był tak straszny, tak straszny, że prawie nie wiedziałam, co mówię. Już przez cały dzień wczorajszy czułam się bardzo źle. Była u mnie na herbacie baronowa Rittberg i namówiła mnie, żebym zdjęła żałobę. A potem ty przyniosłeś mi taką podniecającą wiadomość. Tyle się przykrych wspomnień zbudziło we mnie, dotyczących moich własnych minionych cierpień, że nerwy me nie wytrzymały. Wstydziłam się tego, ale to nic nie pomogło. Musisz mi wybaczyć. Tej nocy także bardzo źle spałam.

— Biedna Gerlindo! Gdybym o tem wiedział, wstrzymałbym się z moją nowiną do dzisiaj. To ja muszę cię prosić o przebaczenie.

Hrabina śmiejąc się, potrząsnęła głową:

— O, nie, co znowu! Miałabym ci to bardzo za złe, gdybyś mi dopiero dziś udzielił tej wiadomości. Mam przecież prawo, jako twoja najlepsza, najserdeczniejsza przyjaciółka, wiedzieć, jakie zmiany zachodzą w twojem życiu.

Z zadowoleniem ucałował hrabia jej dłoń i skonstatował, jak już nieraz, że hrabina jest uroczą kobietą.

— To bardzo pięknie z twej strony, że taki żywy udział bierzesz w moim losie.

— O tak, czynię to, Rainerze, stałeś mi się tak drogim w tym smutnym roku żałoby. Ale dlatego właśnie, że stałeś mi się tak drogim, miałam odwagę wczoraj ostrzec cię przed tym przedwczesnym krokiem. Byłam zdenerwowana i widziałam wszystko w ponurych barwach. Zdaje mi się, że nie powinszowałam ci nawet zaręczyn, w każdym razie nie słowami, bo w sercu uczyniłam to na pewno. Teraz czynię to głośno. Tu masz moją dłoń, niech ci Bóg daruje szczęście, jakiego ja pragnę dla ciebie.

Hrabia ucałował jej dłoń.

— Dziękuję Ci, droga Gerlindo.

Hrabina skinęła głową z uśmiechem.

— No, i naturalnie, że przyjmuję zaproszenie na uroczystość zaręczyn, to przecież zupełnie zrozumiałe. Muszę przecież jak najprędzej poznać twoją narzeczoną! — dodała.

Oczy hrabiego rozbłysły:

— Josta ucieszy się bardzo.

— O, musimy zostać dobremi przyjaciółkami, twoja narzeczona i ja. I cieszę się już na tę chwilę, kiedy zamieszka w Rambergu. Prawda, pozwolicie mnie samotnej kobiecie zagrzać się trochę przy waszem szczęściu? A kiedy ty będziesz zajęty ważnemi sprawami, my kobiety będziemy sobie dotrzymywały towarzystwa.

Hrabia Rainer nie miał pojęcia, jaką komedję odgrywa przed nim hrabina Gerlinda, by się zakraść w jego zupełne zaufanie, i umocnić się w Rambergu, zanim się sprowadzi nowa pani. W poczciwości swej cieszył się z okazywanych mu przez nią względów przyjaźni.

— Zawsze znajdziesz u nas otwarte serca i szczerą przyjaźń, moja droga Gerlindo.

Hrabina miała nadzieję, że Rainer powie: „Pozostaniesz z nami w zamku, wcale nie jest konieczne, byś się przenosiła do wdowiego domu“.

Ale nic podobnego się nie stało.

Czekała też następnych dni na tego rodzaju propozycję, ale nadaremnie.

Hrabia Rainer zaś czekał, aż hrabina sama zacznie mówić na temat swojej przeprowadzki do wdowiego domu, gdyż wciąż jeszcze nie mógł się zdobyć na rozmowę z nią w tej sprawie.

Codzień hrabina przeglądała biżuterję rodową. Rozsypane perły znowu nawlokła. Ale nie nosiła więcej ani jednego z tych klejnotów, tylko biżuterję, która należała do niej osobiście, a która naturalnie nie składała się z tak wspaniałych okazów.

W każdym razie ubierała się teraz niezwykle starannie. Chciała być piękną i była nią w rzeczywistości z tą nieco bladą twarzą i niezwykle lśniącemi oczyma, które w zdenerwowaniu wyglądały jak czarne.

Hrabia Rainer przyglądał się jej często z zachwytem. I pewnego razu rzekł do niej:

— Z każdym dniem stajesz się piękniejszą, Gerlindo. Jest to wprost niesprawiedliwością, żeś przez tak długi czas żyła w odosobnieniu.

Serce hrabiny zabiło dziko i niespokojnie.

Ach, gdybyż ona choć trochę przypuszczała, że hrabia Rainer zechce się żenić! Jakże inaczej zużyłaby ten cały czas! A oto te nagłe zaręczyny postawiły między nimi mur nie do przebycia!

ROZDZIAŁ 10

Kiedy baronowa Rittberg wróciła do domu z wizyty u hrabiny, zastała właśnie zawiadomienie o zaręczynach hrabiego Rainera. Zaskoczona tą wiadomością rzuciła się na fotel.

— No, proszę cię! Trzeba było mnie stopniowo do tego przygotować! Toć można mowę stracić z przerażenia! — rzekła do swego męża, który jej wręczył tę wiadomość.

Baron Rittberg, już nieco przeżyty pan, z wielką łysiną na dużej okrągłej głowie, spoglądał na swoją żonę, uśmiechając się pobłażliwie.

— Co cię tak przeraziło, Lizetko?

— Mój Boże, te zaręczyny!

— Przecież tak gorąco pragnęłaś, żeby się Rainer nareszcie zaręczył i ożenił!

— No tak, ale myślałam, że pobierze się z Gerlindą.

— Ach nie, Lizetko, cóż ci złego uczynił ten biedny Rainer?

Baronowa rzuciła się na swego małżonka.

— Ależ, Dietrichu, jesteś czasem niemożliwy! Widzisz, tak się cieszyłam, że Rainer i Gerlinda . . . to byłaby para według mojego zdania i moich pragnień. Toć ona byłaby rozkoszą dla jego spragnionych piękna oczu.

— Wiesz co, Lizetko? Spójrz na mnie, to i ty będziesz miała taką samą rozkosz. A zresztą, zaczekaj trochę, aż się przekonasz, czy narzeczona hrabiego nie jest przynajmniej tak ładna, jak twoja hrabina Gerlinda.

— Moja hrabina Gerlinda? Ona jest najpiękniejszą kobietą, jaką znam!

— Hm! No tak, jeżeli traktować ją jako obraz, to hrabina jest urocza. Ale jako człowiek, nie, nie Lizetko, byłoby mi żal Rainera. Tych dwoje nie odpowiadałoby sobie w życiu. Hrabina, według mego zdania, ma za mało serca. Wiesz, Lizetko, ona jest i zimna i ognista zarazem. Jest to straszna kombinacja, przynajmniej dla męża. Raz się znajduje w płomieniach, to znów pod zimnym natryskiem. Któżby to na dłuższą metę wytrzymał? I możesz Rainerowi serdecznie powinszować, że nie spełnił twego pięknego marzenia. Przecież miłym ci jest ten wspaniały człowiek! No, nie potrzebujesz się rumienić, ja nie jestem zazdrosny.

Baronowa roześmiała się.

— Nie plecże takich głupstw, mam przecież dwóch dorosłych synów.

— Prawda, Lizetko. Ale wracając do poprzedniego tematu: zczasem przyznasz mi rację. Znam córkę Ekscelencji Waldowa. Słuchaj, to jest słodkie, młode stworzenie, co najmniej tak piękne, jak twoja hrabina Gerlinda.

— Masz nie powtarzać ciągle: „twoja hrabina Gerlinda!“ Jesteś doprawdy potwór!

— Ale bardzo miły. Daj mi buzi, Lizetko.

Baronowa westchnęła.

— A jednak szkoda, że Gerlinda i Rainer nie będą stanowili pary małżeńskiej. Hrabina także jak z nieba spadnie, kiedy się o tem dowie. Ona niewątpliwie coś czuła dla niego.

— Może więcej jeszcze dla majoratu i dla słynnej biżuterji rodu Rambergów. Tę będzie musiała oddać i będzie musiała przenieść się do wdowiego domu.

— Mówisz to przez złośliwość, Dietrichu. Wiem, że nie znosisz hrabiny, bo zanadto zwraca uwagę na wygląd zewnętrzny. Nato jest przecież piękną kobietą. Uroda nakłada pewne obowiązki!

— Spójrz, Lizetko, na swoje nóżki i na buciki na tych wysokich obcasach, — rzekł baron przymilnie. — Dlatego, że masz tak urocze nóżki, jakich jeszcze nie widziałem u żadnej innej kobiety, czujesz się w obowiązku, zamęczać je takiemi bucikami. A ponieważ hrabina jest piękną kobietą, to myślisz, że nie powinna nic innego robić, tylko żyć swoją pięknością.

Baronowa skinęła głową energicznie:

— Naturalnie! Róża nie jest pożyteczną rośliną jak warzywa. Ona nie ma nic innego do roboty, jak kwitnąć i być piękną.

— Bon! To spełnia hrabina gruntownie. Ale wiesz, Lizetko, jestem szczęśliwy, że nie żyjesz u mego boku życiem takiej róży.

Baronowa roześmiała się serdecznie.

— Ach, Dietrichu, nie mogłabym sobie na to pozwolić, gdybym nawet była piękną kobietą; nie dopuściliby do tego moi dwaj chłopcy. Ale tego rodzaju kobieta, jak Gerlinda, musi mieć królewskie otoczenie. Absolutnie nie nadaje się ona ze swoją powierzchownością do wdowiego domu.

Baron objął żonę.

— Daj spokój, Lizetko, wiedz o tem, że mała panna Waldow również nadaje się do Ramberskiego zamku. Przyjrzyj się jej tylko. Kiedy mi ją przedstawiono zimą w rezydencji, byłem doprawdy zachwycony. W jej pięknych, ciemnych oczach lśni coś, czego hrabina nie posiada; serdeczna dobroć i czułość. Ja z mojego punktu widzenia jestem mocno zadowolony z tych zaręczyn. A teraz idź i przebierz się, Lizetko, bo już czas zasiąść do stołu.

ROZDZIAŁ 11

Baronowa Rittberg nie mogła się doczekać niedzieli. Po pierwsze na niedzielę przyjeżdżali zwykle jej dwaj synowie, Jan i Rolf, oficerowie, których garnizon znajdował się wpobliżu, po drugie zaś oczekiwała Rainera i Gerlindę. Jeszcze inni goście byli proszeni na obiad, ale ta reszta mało ją teraz obchodziła.

Niepokoiła się ogromnie, czy aby Rainer przybędzie.

A kiedy hrabia zjawił się w niedzielę w Rittbergu, radość jej nie miała granic. I zamiast kazania otrzymał najserdeczniejsze życzenia szczęścia. Wkońcu baronowa rzekła, śmiejąc się:

— Drogi hrabio, właściwie miałam zupełnie inne plany w stosunku do pana!

Usłyszał to baron i wtrącił:

— Tak, moja żona zakochała się w panu, panie hrabio. Zdaje mi się, że nawet chciała się rozwieść ze mną. Cieszę się bardzo, że pan swemi zaręczynami uchronił

mnie od wielkiego dramatu, — zażartował w swój miły sposób.

Siedziba Rittbergów była znacznie mniejsza od zamku Ramberskiego i nie tak kosztownie urządzona. Ale nie zdarzyło się jeszcze, żeby się ktoś w tym miłym domu źle czuł.

Przy stole panował wesoły nastrój. Nawet hrabina Gerlinda zapomniała chwilowo o swojem zmartwieniu i bólu i od czasu do czasu wybuchała śmiechem, przysłuchując się żartobliwym rozmowom rodziców z synami.

Kiedy po obiedzie panowie wyszli na taras, by na świeżem powietrzu wypalić cygara, a żona i córka jednego z sąsiadów barona Rittberga poszły się przejść po ogrodzie, baronowa i hrabina Gerlinda zostały przez chwilę same w pokoju.

— Moja droga Gerlindo, — rzekła baronowa, — co też pani powiedziała wobec tych niespodzianych zaręczyn pani kuzyna?

Hrabina spodziewała się tego pytania i przygotowała odpowiedź.

— No, — rzekła z obojętną miną, — teraz mogę już pani powiedzieć, że wiedziałam już wcześniej o mających nastąpić zaręczynach. Jestem powiernicą mego kuzyna i ostatniemi czasy opowiadał mi bardzo dużo o swojej narzeczonej.

Baronowa była zaskoczona:

— Ale przecież opowiadała pani mi o jego miłości do jakiejś wysoko urodzonej damy!

Hrabina Gerlinda z lękiem rozejrzała się wokoło.

— Cicho, cicho! Niech pani o tem nie mówi, droga baronowo! O tem nie powinien nikt wiedzieć. Zresztą to już stara historja, chociaż, prawdę mówiąc, mój kuzyn nie zapomniał jeszcze. Pani jednej powiem w zaufaniu, że niebardzo jestem pewna szczęścia tej młodej pary. Wyraziłam nawet kuzynowi te obawy. Jesteśmy takimi dobrymi, szczerymi przyjaciółmi, że czułam się w obowiązku powiedzieć mu o tem. Jednak za duża jest nieco różnica wieku między nimi.

— A ile lat ma narzeczona?

— Dwadzieścia jeden.

— To jest coprawda duża różnica. Ale hrabia Rainer jest mężczyzną, który jeszcze potrafi przywiązać do siebie taką młodą istotę i uczynić ją szczęśliwą. I życzymy mu tego z całej duszy, jeżeli się już zaręczył z tą młodą damą.

Na powrotnej drodze Rainer i Gerlinda milczeli początkowo długo, i miało się wrażenie, jakgdyby myślą byli od siebie daleko. Hrabina wciąż jeszcze z bólem czekała na to, by jej hrabia zaproponował pozostanie w zamku.

Dziś rano kazała go poprosić do siebie i wręczyła mu rodowe klejnoty.

Uczyniła to, by go zmusić do rozmowy na temat jej przyszłego locum. Ale hrabia ciągle jeszcze nie wiedział, jak zacząć z nią o tem mówić.

„Dlaczego nie wspomina nic o tem, że mam zostać w zamku? Jednak nie będzie miał odwagi, zmusić mnie do przeprowadzki do wdowiego domu!“ powiadała sobie Gerlinda.

Teraz przyglądała mu się z boleśnie tęskną miną. Ale on nie spostrzegał tego. Oczy jego wybiegały w dal.

„Kogo te oczy szukają?“ Hrabina westchnęła.

Nagle hrabia ocknął się z zadumy. Po twarzy jego przemknął niepewny uśmiech.

— Ach, jaki ze mnie kiepski towarzysz! Zwymyślaj mnie, Gerlindo, że się tak przy mnie nudzisz.

— Nie nudzę się wcale, kuzynie, ja tak samo jak ty byłam pogrążona w rozmyślaniach. Nie przeszkadzaj sobie. Myślę, że dość mamy zaufania do siebie, aby i w milczeniu z przyjemnością sobie towarzyszyć.

Hrabia przyciągnął jej rękę do ust.

— Jesteś zdumiewającą kobietą, Gerlindo. Z tobą człowiek jest zawsze spokojny i pewny tego, że został zrozumiany.

Tego wieczora długo jeszcze po kolacji siedzieli razem i rozmawiali.

Kiedy wreszcie hrabia pożegnał się z hrabiną, rzekł z podziwem:

— Jesteś czarodziejką, Gerlindo. Rozmawiając z tobą, zapomina się o całym świecie. I nie wiem, czem się więcej zachwycać, czy twoją mową, czy też pełnem zrozumienia milczeniem. Znów darowałaś mi kilka uroczych, miłych godzin. Nie mogę sobie wyobrazić Rambergu bez ciebie!

Hrabina spojrzała na niego z dziwnym błyskiem w oczach i wyczekiwała, co powie dalej. Ale hrabia ucałował tylko jej dłoń i powiedział jej dobranoc.

Pozostała sama.

ROZDZIAŁ 12

Następnego rana znalazł hrabia w skrzynce pocztowej dwa listy; jeden od brata, drugi od Josty. Ostatni brzmiał:

„Kochany Rainerze!

Stokrotne dzięki za Twój drogi list i wspaniałe róże z oranżerji Ramberskiej. Nadeszły zupełnie jeszcze świeże i cudnie ozdabiają mój pokój. Pachną zdumiewająco.

Pytasz, czy już się oswoiłam z myślą, że z mego wujka Rainera zrobił się mój narzeczony? Szczerze mówiąc, wciąż jeszcze nie mogę w to uwierzyć. Co rano, kiedy się budzę, pytam siebie samej, czy to nie sen.

Dalej chcesz wiedzieć, czy nie żałuję tego, że Ci dałam swoje słowo. Nie, nie żałuję. Jesteś taki dobry dla mnie! Tylko boję się trochę, czy będę ci odpowiadała i czy będziesz ze mnie zadowolony. Musisz mieć dużo cierpliwości dla mnie. Naturalnie, że z całych sił starać się będę wszystkie swoje obowiązki spełniać należycie.

Ojczulek serdecznie Cię pozdrawia. Proszę Cię o oddanie ukłonów i pozdrowień hrabinie Gerlindzie. Powiedz jej, że dziękuję bardzo za przyrzeczenia wzięcia udziału w naszej uroczystości, i że ogromnie się cieszę na myśl o poznaniu jej osobiście.

Pozdrawiam Cię serdecznie, kochany Rainerze.

Do widzenia!

Twoja Josta.“

Oczy hrabiego zabłysły.

List ten nie był przecież listem miłosnym, brzmiał może nawet mniej serdecznie, niż niejeden list, który dawniej otrzymywał od Josty jako „wuj Rainer“. A jednak było mu tak dziwnie dobrze na duszy!

Z uśmiechem złożył list i schował go na piersi. Chciał nieco później odpowiedzieć na niego i znów wybrać dla niej najpiękniejsze róże.

Następnie otworzył szybko list od brata. Ten znów brzmiał:

„Drogi bracie!

Możesz sobie wyobrazić, jakie zrobiłem oczy, kiedy otrzymałem zawiadomienie o Twoich zaręczynach. Prawie straciłem już nadzieję, że Ty kiedykolwiek wstąpisz w związek małżeński. A jednak wiadomość ta zdawała mi się zbyt nagłą i niespodzianą. A najwięcej zdumiewa mię to, że na swoją przyszłą małżonkę wybrałeś sobie małą Jostę.

Naturalnie, że przyjadę na Wasze zaręczyny, by Wam osobiście złożyć życzenia i wyrobić sobie maleńkie miejsce w serduszku mojej przyszłej bratowej. Bo kiedy poślubia Ciebie, to musi i mnie przyjąć jako dodatek do Twoich włości. My dwaj jesteśmy przecież nierozłączni, prawda, Braciszku? I tego nie zmieni przecież Twoje małżeństwo!

Kiedy Twoja Pani osiądzie już na stałe w Rambergu, będziecie mnie tam mieli często jako gościa. Teraz mogę Ci powiedzieć otwarcie, że obecność hrabiny Gerlindy działała na mnie zawsze przytłaczająco. Może przyczyniały się do tego jej żałobne szaty. W jej towarzystwie miałem zawsze wrażenie, jakgdyby mi uśmiech zamarzał na wargach. A Ty wiesz przecież, jak chętnie się śmieję. No, ale teraz Gerlinda przeniesie się do wdowiego domu, a w zamku będzie rezydować mała Josta. Ona umie przynajmniej śmiać się z całej duszy. I zobaczysz, jaki duet śmiechu urządzimy w Rambergu.

No, a teraz składam Ci najserdeczniejsze, braterskie życzenia. Niech Twoje małżeństwo będzie jednym długim dniem szczęścia i niech Ci da w życiu wszystko, czego zapragniesz.

Dowidzenia, mój Stary. Serdecznie Cię pozdrawiam

Twój Henning.“

Śmiejąc się, złożył hrabia i ten list.

O tak, Henning i Josta będą się zgadzali ze sobą. Ci dwoje będą się do siebie odnosili z sympatją, tego był pewien. I świadomość ta cieszyła go bardzo.

Zaraz po śniadaniu hrabia odpowiedział na listy brata i narzeczonej. Następnie kazał sobie podprowadzić konia.

Kiedy jadąc przez park, zbliżył się do wdowiego domu, zobaczył tam Heilmanna i kilku robotników, ustawiających drabiny. Miano właśnie naprawić dach.

Administrator natychmiast podszedł do hrabiego:

— Wewnątrz też trzeba przeprowadzić gruntowny remont, panie hrabio. Może pan sobie obejrzy wszystko, — rzekł.

Hrabia Rainer zsiadł z konia, przywiązał go do drzewa i wszedł z Heilmannem do domu.

— Czy pan hrabia życzy sobie sam wybrać tapety, czy też mam próbki posłać pani hrabiny do wyboru? — zapytał administrator.

— Niech je pan każe posłać do mnie. Chcę je osobiście pokazać pani hrabinie i pomóc jej w wyborze. To dałoby dobrą okazję do pomówienia z Gerlindą o przeprowadzce. Z temi myślami pojechał hrabia dalej.

W tym samym czasie hrabina wyszła na swój codzienny spacer. Szła przez park. Spacerując zbliżyła się znów do wdowiego domu. Nagle usłyszała stuk młotów i głośne nawoływania męskich głosów. Hrabina przykucnęła i ukryła się za krzakiem. Stamtąd ujrzała dwóch robotników na dachu i jednego, jak malował olejną farbą drewnianą kratę werandy.

Zadrżała, jak pod uderzeniem, i stężałym wzrokiem przyglądała się tym przygotowaniom. Twarz jej pobladła, usta zacisnęły się, jakgdyby chciała stłumić okrzyk.

Blada, z niesamowicie błyszczącemi oczyma, wróciła hrabina ciężkim krokiem na zamek. Musiała wyładować swoją złość u siebie w pokoju, gdzie jej nikt nie widział.

Ofiarą padła przytem drogocenna waza z majoliki, a koronkową chusteczkę, podartą w strzępy i ściśniętą w kłębek, znalazła potem w kącie pokojówka.

Przy obiedzie jednak siedziała hrabina naprzeciw hrabiego napozór zupełnie spokojna.

Zdążyła się już opanować. A ponieważ wiedziała teraz, że musi wynieść się z zamku, postanowiła urządzić to tak, że niby ona sama daje pierwsza tę inicjatywę. Lepiej będzie wyglądało, jeżeli sama uda się na wygnanie, aniżeli z czyjegoś rozkazu.

Kiedy podano zupę, rzekła, uśmiechając się z rezygnacją:

— Drogi Rainerze, gdy tylko wrócę z twoich zaręczyn do zamku, chcę zaraz urządzić przeprowadzkę do wdowiego domu. Bądź tak dobry i każ tam sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Hrabiemu spadł kamień z serca. Szczęśliwy był, że Gerlinda sama zaczęła o tem mówić. Oczy jego rozbłysły wdzięcznością.

— Przychodzisz mi z wielką pomocą, Gerlindo. Szczerze mówiąc, lękałem się zaproponować ci to, — rzekł hrabia.

— Ależ dlaczego? Przecież to zrozumiałe samo przez się, że muszę się przenieść do wdowiego domu. Będę ci tylko wdzięczna, jeżeli w przyszłości pozwolisz mi często przebywać w tych pokojach i grzać się u twego domowego ogniska, kiedy moje serce będzie marzło na tem samotnem wygnaniu. A że ustępuję swego miejsca nowej władczyni, to przecież rzecz naturalna!

Hrabia ucałował jej rękę.

— Wiem, Gerlindo, że jesteś najbardziej wartościową kobietą, jaką znam. Czynisz mnie dumnym i szczęśliwym, uważając mnie za godnego swojej przyjaźni. Mój dom będzie o każdej porze twoim domem, możesz wchodzić doń i wychodzić, kiedy ci się tylko zechce, i zarówno ja, jak i moja żona, będziemy się czuli szczęśliwi, kiedy będziemy mogli korzystać z twojego towarzystwa. Ty i Josta musicie się zaprzyjaźnić, gdyż obie jesteście dobre, szlachetne i wielkoduszne. Nie może być inaczej, na pewno pokochacie się nawzajem.

— I ja mam tę nadzieję i cieszę się bardzo, że niezupełnie mnie wypędzasz z zamku, gdyż wiesz, że obawiam się nieco wdowiego domu i będę szczęśliwa, jeżeli będę mogła często u was bywać.

W ten sposób została załatwiona ta niezmiernie przykra dla Rainera sprawa.

ROZDZIAŁ 13

Josta von Waldow spędzała dni poprzedzające uroczystość zaręczyn w nierównym nastroju. Przeważnie była cicha i zamyślona. A chwilami znów przenikało ją gorącą falą uczucie szczęścia, kiedy uświadamiała sobie, że będzie żoną Rainera i że już na zawsze pozostanie przy nim. Może ją jednak pokocha kiedyś tak, jak ona o tem marzy?

Przygotowania do uroczystości absorbowały ją na szczęście tak, że niewiele jej czasu pozostawało na rozmyślania.

Tych kilka dni minęło, jak we śnie.

Czternastego maja przyjechali hrabia Rainer i hrabina Gerlinda. Zamieszkali razem w pałacu Ramberskim, gdzie też zarezerwowane były pokoje dla hrabiego Henninga.

Hrabina Gerlinda z trudem opanowywała nerwowe podniecenie. Chciała jak najprędzej stanąć oko w oko ze swą rywalką, zobaczyć, jak wygląda to stworzenie, które zadało jej taki głęboki, bolesny cios!

Zapytała Rainera, czy nie posiada fotografji Josty. Miał tylko kilka starych, małych zdjęć, które jej pokazał. A na tych podobiznach Josta niebardzo dobrze wyglądała. Rainer dodał jednak z uśmiechem, że Josta zmieniła się bardzo na korzyść. W ten sposób wyobraziła ją sobie Gerlinda, jako znośnie ładną, bez wielkiego znaczenia dziewczynę. Była pewna, że pięknością i czarem swojej postaci zaćmi Jostę zupełnie. Rainer dopiero teraz zobaczy, że przeoczył brylant, by zdobyć szkło.

Zaraz po przyjeździe do rezydencji pojechał hrabia do „Dziewiczego Zameczku", by powitać narzeczoną i jej ojca i poprosić ich, aby razem z nim złożyli wizytę hrabinie Gerlindzie.

Kiedy zajechał przed zameczek i z niespokojnie bijącem sercem wysiadł z powozu, ujrzał Jostę w westybulu, schodzącą ze schodów. Josta nie spodziewała się go jeszcze i kiedy go zobaczyła, przystanęła, a krew uderzyła jej do twarzy.

Z młodzieńczym pośpiechem podbiegł Rainer do niej, i przeskakując po kilka schodów, stanął przed nią z rozpromienioną twarzą. Dziewczyna musiała użyć dużego wysiłku, by stłumić okrzyk radości. Taki młody i zwycięski stał przed nią, taki zupełnie inny, aniżeli ten dobry, stary wuj Rainer! Nie wiedziała, że to nowa, gorąca miłość do niej tak go zmieniła, zdawało jej się, że to tylko ona widzi go teraz innemi oczyma, niż dawniej.

Poszli razem po schodach nagórę. Hrabia Rainer wsunął jej rękę pod swoje ramię i czuł, jak ta mała rączka drży zlekka.

Spokojnie i serdecznie rozmawiali ze sobą, aż stanęli przed ministrem, z którym Rainer przywitał się uprzejmie.

Przez cały czas hrabia nie spuszczał oka z Josty. Miał teraz uczucie, jakby się strasznie stęsknił za jej widokiem. I nie mógł postąpić inaczej, jak tylko przyciągnąć ją do siebie i pocałować.

Szybko wysunęła się z jego ramion, a hrabia uczuł, że jej wargi nie oddały jego pocałunku. Cień przemknął po jego obliczu. Postanowił pohamować się i czekać cierpliwie, aż jej serce przylgnie na zawsze do niego. W przeciwnym razie mógłby zaraz na początku wszystko zepsuć.

Więc zmusił się znowu do dawnego spokojnego tonu wujaszka.

Opowiedział narzeczonej, że hrabina Gerlinda przyjechała wraz z nim i że otrzymał od brata telegram, zapowiadający jego przyjazd na siódmą wieczorem. Następnie poprosił Jostę i jej ojca, by pojechali z nim do pałacu Ramberskiego poznać hrabinę Gerlindę.

Minister i córka byli wkrótce gotowi, i cała trójka wsiadła do powozu, udając się do pałacu.

Hrabina Gerlinda skończyła właśnie toaletę i stanęła niewidzialna za koronkową firanką w swoim pokoju. Chciała zobaczyć rywalkę, zanim ta stanie przed nią. Ale ujrzała tylko w przelocie wysmukłą, wytworną sylwetkę Josty; twarzy nie dostrzegła, gdyż osłaniał ją kapelusz z dużem rondem.

Potem jeszcze raz krytycznem okiem obejrzała odbicie swojej postaci w lustrze. Była zupełnie zadowolona z siebie. Z dumnie podniesioną głową, trzymając się iście po królewsku, zwolna udała się do salonu przyjęć.

Dwie kobiety stanęły po raz pierwszy naprzeciwko siebie. Josta była odrobinę niższa od hrabiny, ale że była bardzo szczupła, robiła wrażenie, jakgdyby była tego samego wzrostu. Josta była pięknem, czarującem zjawiskiem, które bynajmniej nie bladło przy królewskiej postaci hrabiny. Przeciwnie, ten niewzruszony urok młodości, te ciepło spoglądające ciemne oczy i ten zniewalający, słoneczny uśmiech, na pewno przyczyniłby się do zwycięstwa Josty, gdyby obie te kobiety stanęły do konkursu.

Porywający wygląd rywalki i jej piękność zadały hrabinie cios w samo serce.

Ale już po chwili Gerlinda opanowała się i ze słodkim uśmiechem podeszła do Josty i mimo jej instynktownego, ledwie dostrzegalnego oporu, ujęła ją w ramiona.

— Między nami nie powinni istnieć chłodne, ceremonjalne formy, moja droga Josto. Stałyśmy się nietylko spowinowacone wskutek pani zaręczyn z Rainerem, lecz musi się pani, jak mój kuzyn, zaprzyjaźnić serdecznie ze mną. Czy chce pani tego?

Josta spoglądała niepewnie i niedowierzająco w piękną twarz hrabiny, jakgdyby szukała w niej zanikłego już teraz wyrazu nienawiści. Ale ponieważ nie zauważyła nic, prócz serdecznej życzliwości, pomyślała, zła na siebie samą, że uczyniła jakieś szalone spostrzeżenie.

— Pani jest bardzo łaskawa, hrabino. Dziękuję pani bardzo, że uważa mnie pani za godną swojej przyjaźni, — rzekła niepewnie.

Hrabina Gerlinda roześmiała się.

— W takim razie wykreślmy zaraz z formy naszego obcowania „hrabino" i to sztywne „pani". Będziemy przecież jak szczere przyjaciółki i siostry żyć ze sobą w Rambergu! Rainer i ja rozmawialiśmy już o tem. A więc chcesz tego, droga Josto?

Josta spojrzała na Rainera, który z uśmiechem skinął jej głową. Czegóżby nie zrobiła, by jemu sprawić przyjemność.

Opanowała więc instynktowną niechęć do hrabiny i podała jej rękę.

— W moją gorliwość nie wątp, droga Gerlindo. Ale kto wie, czy ci będę jako przyjaciółka odpowiadała? Rainer mówił mi, jaka jesteś mądra i inteligentna. Ja zaś jestem niepozornem, młodem stworzeniem.

— Czy słyszysz, Rainerze? Twoja narzeczona sama się pomniejsza. Na to nie pozwalaj! Z tak mądremi oczyma nie można być istotą bezwartościową, droga Josto. Rainer na pewno nie wybrałby na żonę niepozornej osoby, na to ma za dużo szacunku dla wartościowych, mądrych kobiet. A wogóle, kto ma tak wybitnie inteligentnego ojca, jak ty...

Minister z podziwem spojrzał na piękną kobietę.

— Czy chce się pani zabawić moim kosztem, pani hrabino? — zapytał żartobliwie.

Hrabina uniosła ręce jak w obronie i rzekła, spoglądając na ministra najsłodziej i najmilej, jak tylko mogła.

— O, Ekscelencjo, to zbytnia skromność u tak znakomitej osobistości!

Dokończenie nastąpi.

EDGAR WALLACE

KAMEA MEDYCEUSZÓW

Powieść kryminalna

STRESZCZENIE.

Samuel Wasser, syn właściciela największego magazynu w Littlebourgu, jest w przededniu poślubienia pięknej Oktobry Jones. Oktobra otrzyma wielki posag, jeśli wyjdzie zamąż przed ukończeniem 21 roku. W drodze do pałacu rodziców Oktobry spotyka Sam pijanego włóczęgę i prowadzi go do Oktobry, by pomścić żartem zniewagę, wyrządzoną mu przez Oktobrę. Oktobra bowiem oświadczyła, że poślubiłaby każdego włóczęgę. W pałacu Oktobry spotyka Sam całą rodzinę, jakoteż kapłana domu. Oktobra na zapytanie Sama, oświadcza ponownie, że poślubi włóczęgę i ku zdumieniu zgromadzonych zmusza kapłana do udzielenia jej ślubu z włóczęgą Robinem Leslie. Zanim rodzina i Sam mogli ochłonąć z przerażenia, młoda para ucieka do najbliższego lasu i chronią się w domu pewnego wisielca. Odważniejsi ze służby pałacu ścigają Oktobrę po śladach, prowadzących do jej schroniska. Tymczasem do ojca Oktobry, p. Elmera, przybywa niespodzianie pewien Anglik, który żąda rozmowy z nim.

— Przepraszam, że pozwalam sobie niepokoić państwa. Głos jego był dźwięczny i melodyjny.

— Słyszałem tu wrzawę, lecz nie mogłem dokładnie zrozumieć, o co chodzi. Mówią podobno o jakimś włóczędze. Spodziewam się, że mi państwo darują, że pozwoliłem sobie wtargnąć. Wymawiał słowa trochę przewlekle, jakby mówił cudzoziemskim językiem.

— A był! a jakże! włóczęga pijany jak bela, wołano dokoła. Pan Elmer zrozumiał, że nadeszła chwila, w której sam musi stworzyć własną wersję o niebywałem zdarzeniu. Stać się to musi prędzej czy później, wszak za dni kilka przewodniczyć będzie zebraniu fermerów. Na samą myśl o tem dreszcz go przeszedł.

— Dobre! — rzekł.

Obecność Lea Wasser i opłakany stan, w jakim znajdował się jego syn, zdecydowały o kolorycie legendy.

Pan Elmer nie wziął pod uwagę faktu, że Anglik był właściwie intruzem, nie mającym żadnego prawa mieszać się w to, co zaszło. — Cudzoziemiec ten był dla niego w tej chwili opinją, przedstawicielem tych, co jutro zrana siedząc przy śniadaniu, zapijać będą kawę z gazetą w ręku i mówić będą:

— Ładne rzeczy dzieją się w tym Littlebourgu. Żebrak z ulicy porywa wykształconą pannę, która skończyła gimnazjum i bierze ją za żonę. Co więcej, pan Elmer widział już w myśli dokoła siebie na fermie Czterech Buków, armję reporterów i fotografów.

— Moja siostrzenica... tak... Byłem szwagrem jej matki, ta młoda lady nazywa się Oktobra Jones. Miała zawsze opaczne pojęcia o wszystkiem.

— Nadzwyczajne! — wyszeptał nieznajomy.

Bez względu na to, czy słowa te były banalnym frazesem, czy drwiącą uwagą, nadały one nowy bieg myślom pana Elmer.

— Nadzwyczajne! Tak! masz słuszność, to było całkiem nadzwyczajne. Ta młoda lady miała wychodzić zamąż, dziś ślub. Wszystko było gotowe. Wielebny Stewens i wszystko inne. Tu wskazał ręką na godowo przybraną bawialnię. Anglik w gumowym płaszczu spojrzał w zamyśleniu na powódź kwiatów.

Aż tu naraz zjawia się włóczęga. Tak, — wszedł... i stanął na tem właśnie miejscu, gdzie pan stoi.

— A syn mój Sam został odurzony narkotykiem, niema wątpliwości, twierdził stary Wasser. Ten obdartus znalazł sposób, dał mu coś powąchać, lub coś podobnego. Jeszcze jest nieprzytomny.

Andrzej Elmer potwierdził to skinieniem głowy.

— Tak właśnie się zdarzyło. Oktobra jest narwana. Powiedziała zaraz: „owszem!“ poślubię go. Wyjęła obrączkę. Mnie mowę odjęło. Stałem tu, a może tu.

Szukał z drobiazgową uwagą miejsca na podłodze, w którem go zastał wypadek. Nie mogę napewno określić.

— Zatruty — syn mój zatruty — powtarzał bezradnie stary Wasser.

— Odurzony — sprostował Andrzej Elmer. Doprawdy sam sobie nie wierzę — całkiem jak we śnie.

Nieznajomy wpatrzył się w niego przenikliwie; uśmiech, który miał dotąd na ustach, — znikł bez śladu.

— Ślub? — spytał tonem nagle ostrym. — Kto kogo poślubił?

Pan Elmer wzruszył ramionami, dziwiąc się szczególnej niepojętności Anglika.

— Ależ Oktobra — wszak mówiłem panu, że to szalona dziewczyna; wyjęła obrączkę z kieszeni biednego Sama i powiedziała: „Oto jest“. „Jakie wasze imiona“, rzekł pastor, ona powiedziała swoje, a tamten co powiedział Leo. Pan Wasser nie pamiętał. Wyrazistym gestem dał do zrozumienia Anglikowi, że jest to szczegół bez znaczenia.

— Nie rozumiem; ta dziewczyna, Oktobra, — jak ją pan nazwał, — zgodziła się poślubić włóczęgę? — pytał nieznajomy.

— On był pijany, — objaśnił pan Wasser, — jakby ten stan miał być usprawiedliwieniem szczególnego postępku Oktobry.

— Zgodziła się i zrobiła to; rzekł — pan Elmer.

Usta nieznajomego rozwarły się, monokl wypadł mu z oka.

— Poślubił, naprawdę poślubił.

Panowie Elmer i Wasser skinęli twierdząco głowami, Sam uczynił to samo bezwiednie.

— Boże! Boże!

Serce Andrzeja Elmer zamarło. Jeśli ten fakt wywiera tak wstrząsające wrażenie na cudzoziemca i człowieka najwyraźniej mało wrażliwego, cóż będzie, gdy wiadomość ta dostanie się do miejscowych gazet.

— Wszak mówiłem już panu, że Oktobra to szczególna dziewczyna, szalona, można powiedzieć — która potrafi skoczyć; tak panie, wskoczyć na studnię i krzyczeć: „Jeśli mnie dotkniecie, wskoczę w wodę“. Tak panie.

— Czy skoczyła dzisiejszej nocy?

Nieokreślona nadzieja drżała w tych słowach cudzoziemca.

— Nie skoczyła, wszak mówiłem panu, co zrobiła dzisiejszego wieczora.

— Więc wyszła za włóczęgę? całkiem pewnie poślubiła włóczęgę? Wszyscy potwierdzili poważnie, lecz zanim pan Elmer usta otworzył, nieznajomy spytał z namiętną ciekawością:

— Gdzież jest?

— Oktobra? — spytał pan Elmer.

— Mniejsza o Oktobrę. Nieznajomy uśmiechał się znowu, lecz tym razem złośliwie.

— Pytam o niego; gdzie poszedł włóczęga?

Leon Wasser wskazał patetycznie na drzwi.

— Tędy wyszli oboje.

Człowiek w gumowym płaszczu odwrócił głowę.

— Oboje! — mówił z nagłem ożywieniem, lecz gdzie się udali, jaką obrali drogę i kiedy stąd wyszli?

Pan Elmer wyjął z zanadrza swój duży zegarek.

— Upływa pół godziny, jak stąd wyszli.

I jakąż miał wartość zegar? nie mógł już w żadnej mierze wpłynąć na przebieg faktu, który stał się cząstką wieczności.

— Przed pół godziną? — mówicie.

Drzwi, na które wskazywano, były czarną czeluścią, wiodącą w noc. Nieznajomy wyszedł, przy bramie czterech młodzieńców toczyło obrady.

— Uważasz Edy — Homo pijany był jak bydlę, nie wiedział, co robi. — Sam i Pet znaleźli go w lesie. Pet obalił go. Pić będziesz taki synu! — mówił mu Edy.

Lecz gdy człowiek w gumowym płaszczu przeszedł obok nich, zaniechali rozpamiętywań i zajęli się tym nowym przybyszem.

— Anglik niezawodnie — auto ma kolosalne Joe Beardy z garażu, ocenia go na tysiąc dolarów conajmniej.

Kolosalne auto czekało na bocznej drodze, przytykającej do gościńca. Alan Loamer wskoczył na siedzenie przy kole i popędził w szalonem tempie w stronę Littlebourga. — Przejeżdżając przez miasto, zwolnił nieco, nie chcąc być zatrzymanym przez pozbawionego wyobraźni policjanta. Znalazłszy się znów na szosie, zahuczał samochodem i zapalił swe olbrzymie latarnie. Przeglądał pilnie drogę, dojrzał wreszcie postać przeskakującą przez płot i zatrzymał auto.

— Byrne! — zawołał.

Cień przystąpił do auta, a za nim drugi.

— Widzieliście go?

Nie! Lenny i ja przetrząsnęliśmy napróżno wszystkie kąty. Ale musi przejść tędy, chyba że się cofnie wstecz. Lenny twierdzi, że musi on być z tamtej strony miasta.

Człowiek przy kole powiedział do siebie coś, czego Rudobrody nie dosłyszał.

— Osadzam was tu — rzekł, — a sam pojadę zasięgnąć języka. Jest z nim teraz kobieta, młoda dziewczyna.

— Co pan mówi? — zdziwił się Rudobrody.

— Tak, to trochę utrudnia rzecz.

Pan Loamer był pozornie spokojny; słuchacze jego nie wiedzieli, że poza maską obojętności kipi w nim szalona wściekłość.

— Czy jest tu jaka boczna droga? Muszę zawrócić auto. — Słowa te wymówił jakoś dziwnie.

— Patrzcie, jak kręci swoją maszyną; Gussie lubi hałasować — zauważył Lenny, obserwując z odległości manewry samochodu.

— Lecz cóż to za spódniczka, nigdy nie słyszałem o czemś podobnem.

Auto zawróciło i z wielkim hukiem pędziło do Littlebourga. Przybywszy do miasteczka mister Loamer znalazł w niem niezwykły ruch. Ludzie stali grupami we wszystkich wolnych miejscach, a na rogu dwóch ulic dobiegł nawet dwóch ludzi z rewolwerami, którzy robili dużo wrzawy. Na skrzyżowaniu głównej ulicy z rynkiem, napotkał policjanta. Ten zapytany o powód, nie wiedział nic pewnego. „Dziewczyna", tak, słyszał coś o dziewczynie i o jakiemś zajściu na fermie pana Elmera. Szef policji zajął się już tem. Policjant spytał pana Loamera, czy nie spotkał gdzie dwóch ludzi; jednego wysokiego z rudą brodą i drugiego małego i grubego. Pan Loamer odrzekł, że nie widział.

— Widocznie niema już ich w mieście — orzekł policjant, wyrażając nadzieję, że burza, która szalała w okolicy, ominie Littlebourg.

W godzinę po północy Rudobrody ujrzał widne zdaleka wspaniałe latarnie olbrzymiego samochodu i obudził towarzysza, który usnął, stojąc oparty o płot.

— Urządzili obławę dla odszukania ich; będą przetrząsać lasy po tamtej stronie miasta, lecz ktoś powiedział, że może są w domu jakiegoś Szweda, gdzie straszy; słyszeliście o takim domu?

— Dom Szweda, Lenny.

Przecierając zaspane oczy, Lenny odrzekł, że słyszał o takim domu, choć go nigdy nie widział.

To gdzieś za fermą Elmera, nigdy tam nie byłem, ale las nie jest duży.

Wskazał drogę, którą należało obrać.

Pan Loamer oświadczył, że pojedzie raz jeszcze do miasta, a potem wróci do nich.

— Tym razem musicie go doścignąć — rzekł stanowczo. — Dziewczyna? — Pokręcił wąsika urękawiczoną dłonią i milczał dłuższy czas; widocznie rozważał w sobie kwestję dziewczyny, bo wreszcie rzekł: O nią właściwie nie chodzi. Usadowiwszy się przy kole, dodał nawiasowo:

— Policjant pytał mnie, czy was nie widziałem, powiedziałem, że nie.

— To bardzo łaskawie z pańskiej strony — rzekł z odcieniem sarkazmu Rudobrody. Skoro auto znikło mu z oczu, uderzył towarzysza po ramieniu.

— W drogę! — rzekł. — W domu Szweda mieszka upiór, być może damy mu towarzysza.

VI.

Oktobra całkiem już zbudzona, nie wyrywała się, spróbowała jednak oderwać od ust rękę, która je przygniatała, napróżno jednak wytężała całą siłę mięśni i kości.

— Ani szmeru — szepnął niedosłyszalnie — bałem się, że pani krzyknie, ktoś kręci się pod domem. Skinęła na znak, że rozumie, wtedy puścił ją. Twarz jego oddaliła się wtedy od jej twarzy.

— Przykro mi, rzekł. Czy mogłaby pani zejść bez hałasu z łóżka — lecz nie, lepiej tak. — Uniósł ją obu rękami; zardzewiałe sprężyny siatki zwolnione od nacisku, skrzypnęły lekko. Postawił ją cicho na podłodze tyłem do okna.

— Nie ruszać się.

Burza minęła; zdało się jej, że do pokoju wpełzły pierwsze zaczątki świtu i cisza; potem za oknem chrzęst gałęzi. Robin włóczęga przykucnął pod oknem. Widziała go jako czarną bryłę, czarniejszą od ciemności, jaka panowała w izbie. Okno pociemniało, czyjeś ręce próbowały klamki, słyszała cichy szept kłótliwych głosów. Nagle krąg światła ukazał się na przeciwległej ścianie. Człowiek za oknem lustrował pokój za pomocą latarki elektrycznej. — Krąg światła poruszał się w prawo i w lewo, w górę i wdół, odnalazł róg zardzewiałego łóżka i zawisł tu niepewny. Widziała teraz dokładnie Robina. Skurczony pod oknem przytrzymywał z całych

sił stalową sztabkę, która regulowała niegdyś otwieranie okna. Zrozumiała teraz, dlaczego tamten z za okna nie mógł wejść. Światło znikło.

— Idź pani ku drzwiom, na prawo, weź pani trzewiki, tylko nie wkładaj ich na nogi. Słuchała ślepo wszystkich instrukcji. Podjęła z ziemi trzewiki i szła na palcach przez korytarz, dokąd nie napotkała drzwi; tu zatrzymała się; czuła, że on idzie tuż za nią.

— Czy otwarte? — szepnął i poszedł przodem. Korytarz był tak ciasny, że uczuła przy przejściu rękaw jego koszuli, który otarł się o jej twarz. Drzwi nie były zaryglowane, lecz mogły zgrzytać na zawiasach. Nieprzyjaciel był w tej chwili przy frontowych, które potrząsał mocno. Robin wyczekał powtórnego ataku i równocześnie otworzył drzwi tylne, potem odwrócił się do Oktobry i przeciągnął ją przez próg. Znaleźli się oboje w kuchni, którą czuć było pleśnią i wilgocią. Były tu drugie drzwi, znalazł je, przesuwając ręką po wilgotnej ścianie; sufit był częściowo wykruszony. Głuchy grzmot wstrząsnął małym domkiem, potem drugi. Robin otworzył drzwi, woń mokrych liści i zapach lasu owiały nozdrza wdzięcznej im za to Oktobry.

— Weź pani płaszcz. Czuła usta jego tuż przy swem uchu, nie usunęła się już od kłującego kontaktu jego obrosłej twarzy.

— Dobrze. — Idź pani bez trzewików, zamoczysz trochę nogi, lecz z tego się nie umiera. Trzymaj się mego rękawa, gdy zatrzymam się, stań także. Byli w tej chwili w miejscu, gdzie był kiedyś ogródek, Robin szedł w kierunku drogi, przez otaczający ich lasek, ona szła pilnie za nim. Pończochy miała podarte w strzępy, a gdy raz nadeptała na ostry cierń, największym tylko wysiłkiem zdołała powstrzymać się od krzyku. Jęknęła bardzo cicho, lecz on usłyszał i odwrócił się ku niej. Byli już tak daleko, że nie dojrzeliby domu Szweda, gdyby nawet był dzień. Robin zatrzymał się.

— Włóż pani trzewiki. Oparta o niego jedną ręką, drugą wkładała pantofelki, jeden po drugim. Stopy miała zakrwawione, pończochy zdarte, z przyjemnością też uczuła skórzaną podeszwę pomiędzy stopą a ziemią.

— Nie trzeba się śpieszyć; oni teraz przeszukują chałupę; rzekł zawsze szeptem. A gdy wyjdą, drzewa zasłaniać im będą szerokie przestwory, które tak lubi Lenny i gdzie ludzie są naprawdę ludźmi.

Coś go ubawiło, bo zaśmiał się z cichem staccato. Zaczął iść bardzo szybko, zwiększając w żywem tempie odległość, dzielącą ich od domu Szweda. Wspięli się na wzgórze, zeszli z niego, a wtedy ścisnął mocno jej ramię i stanęli jak wryci. Zobaczyła człowieka. Świt był jeszcze tak słaby, że zaznaczał tylko ogólne kontury tej postaci. Człowiek siedział na zrąbanym pniu i palił papierosa trochę na lewo od nich. Poza sobą słyszeli strzały, słabe na szczęście i odległe. Człowiek siedzący na pniu powstał i szedł zwolna ścieżką, która w tem miejscu skręcała na prawo. Przeszedł tuż prawie obok ukrytej pary krokiem niepewnym, widocznie zgubił drogę.

— Hallo! zawołał. Po chwili głos jakiś odpowiedział na to wołanie.

— Byli tu, ale już zwiali. Był to głos Rudobrodego. Oktobra poznała go odrazu. Człowiek z papierosem znikł im z oczu, Robin stał w miejscu i czekał.

— Patrz pani! — rzekł po chwili. W zagłębieniu wzgórza widać było trzy światła, dwa białe i jedno czerwone.

— Auto! — rzekł Robin. Z nastawienia świateł poznała, że front auta zwrócony był do Littlebourga. Pewnym krokiem szedł w stronę samochodu, ona za nim, trzymając go mocno za rękaw.

— Wsiadaj pani, szepnął, sam wskoczył. Zanim zdołała się opamiętać, byli już w pełnym ruchu.

On, kierując wozem, oglądał się co chwila w tył, jechali prawie bezszelestnie. Wóz podskakiwał na nierównej drodze, w szybkiem tempie zbliżali się ku szosie. Doszedł jej uszu huk wystrzału, obejrzała się dokoła, lecz nie widziała nic, prócz ciemnego tła wzgórza — i równie ciemnego lasu. Coś musnęło ją w policzek, opędziła się instynktowo ręką, myśląc, że to ćma nocna. Robin włóczęga zwolnił nieco na zawrocie i teraz mieli już za sobą Littlebourg i pędzili w stronę Ogdenburga. Oktobra siedziała wtulona w kącie, patrząc i nie patrząc na mijane krajobrazy. Spichrze i domy fermerów, parkany, płoty, zalesione wzgórza, jakieś zamarłe miasteczko z kościółkiem o brzydkiej, pobitej blachą wieży i żywej duszy na drodze, któraby ich mogła dostrzec.

Jechali wzdłuż jeziora, zakończonego miniaturową Niagarą; robiło się coraz jaśniej, napotkali wóz wiejski. — Robin dojechał do rozwidlenia dróg i zjechał na prawo, choć była to najwyraźniej gorsza droga. Jechali po grudzie, — krok za krokiem, ślizgając się w tył. — Droga stawała się skalistą, aż urwała się całkiem obok kamieniołomu, dawno już opuszczonego. Mimo to jechali dalej jeszcze między drzewami, wymijając cudem bryłowate kamienie sterczące po drodze, jakby umyślnie dla wywołania katastrofy. Gdy wreszcie przejechali wąski jak brzytwa przesmyk, zatrzymał kierownicę w sam czas, bo grunt opadał tu stromo, prosto w wąwóz.

— To tu! — rzekł Robin, wyskakując z auta, zanim Oktobra zdołała pójść za jego przykładem, włóczęga wziął ją na ręce i postawił na ziemi. Auto potoczyło się wdół. Robin zeszedł tam również, studjując ślady kół widoczne na trawie. Na szczęście była dalej kamienista droga, gdzie krzyżowało się wiele podobnych śladów, które mogły zmylić pościg, o ileby sięgnął tak daleko. Powrócił potem do auta, zabrał z siedzenia koc i koszyk z zapasami; podniósłszy pokrywę spojrzał i gwizdnął szatańsko, jak się zdawało Oktobrze, potem rozwinął paczkę owiniętą w płótno.

— Ręcznik i mydło, słyszę szum wody gdzieś blisko — rzekł, podnosząc ku niej głowę. — Uważać na depeszę.

— Depeszę? — zdziwiła się Oktobra.

— To znaczy: Marsz do źródła! — przełożył na zrozumiały język Robin.

Znalazła wodę, która była rozkosznie chłodna; gdy powróciła do niego lekkim krokiem, różowa była jak jutrzenka, która wschodziła właśnie. Wziął z jej rąk ręcznik i mydło, i poszedł do źródła. Miał śmieszną łatę ze szkockiego pleda, na tyle spodni. Patrzyła za nim z ręką na brodzie, dopóki nie zniknął jej z oczu za krzakiem dzikiej róży, który zakrywał źródło. „Robin Leslie“. Była więc żoną Robina Leslie i nie było to złudzeniem. Stała się cząstką jego życia. Rudobrody był jego śmiertelnym wrogiem, jakże drżała z obawy i gniewu, gdy groziło im wspólne niebezpieczeństwo. Oktobra nie analizowała nigdy własnych uczuć. Mogła wysuwać przyczyny i wnioski, o ile dotyczyły ekscentryczność innych ludzi, lecz nigdy nie czuła potrzeby poddania analitycznej krytyce własnej jaźni, ani też porównania jej odruchów z gorzkiemi doświadczeniami innych. Człowiek ze szkocką łatą na spodniach był

faktem. „Robin Leslie“. Różnić się mógł od innych ludzi trybem postępowania, jak dotąd tryb ten był zadowalniający. Dał jej łóżko sprężynowe, które zrobiło z niej tatuowaną lady (stwierdziła to pobieżnie przy umywaniu), kazał jej we właściwym czasie włożyć trzewiki; ona sama nie wybrałaby lepszej chwili. Doskonale kierował autem. Prawdopodobnie kradł już nieraz samochody. Szkocka łata na spodniach nie była znów czemś zbyt absurdalnem, ani jedyny rękaw kurtki; musi mieć zapewne menażkę do zupy, jaką noszą wszyscy włóczędzy. Gdy powrócił do niej, był bardzo czysty i wyglądał zdumiewająco zdrowo. Skoro podał jej wydobytą z koszyka kanapkę, zauważyła, że paznogcie jego były nieskazitelnie czyste. Zauważyła jednak, że drży trochę i oczy ma przekrwione. Były to oczy szare, wcale ładne, ale stanowczo przekrwione. W koszu znalazł się termos. Kawa kipiała, gdy wyleli ją do filiżanek, które znaleźli w koszu.

— Teraz! — rzekł, siadając na skrzyżowanych nogach — pomówmy rozsądnie. Widzę, że pani jest tutaj; wiem, że byłaś ze mną w domu Szweda, który, mówiąc nawiasem, powiesił się w sieni na tym haku, choć uważałem, że lepiej będzie skłamać, aby pani nie denerwować. Wiem, że pani związana jesteś ze mną w jakiś tajemniczy sposób, lecz dlaczego i poco?

Słuchała tego wyprostowana sztywnie; czy to żart? prawdopodobnie nie; sączył kawę z filiżanki, spoglądając na nią chwilami zaczerwienionem okiem.

— Jestem waszą żoną — rzekła.

Przełknął kawę, zakaszlał i odstawił filiżankę.

— Przepraszam panią.

— Jestem waszą żoną — powtórzyła, a z wyrazu grozy, jaki ujawnił się na jego twarzy, potęgując jej brzydotę, poznała, że nie pamięta, co zaszło w Littlebourgu.

— Moją żoną! — rzekł — chyba nie mówi pani serjo.

Skinęła głową.

— Owszem, mówię jak najbardziej serjo; czy pan nie pamięta?

— Nic nie pamiętam... Ach tak! te młode djabły w lesie, wszyscy byli pijani; spici do ostatnich granic, do jakiego dojść mogą młodzi chłopcy, którzy zaleli pałę. Nie miałem pojęcia o co im chodzi: faktycznie, spodziewałem się całkiem czegoś innego. Jeden z nich, mister Goldbukel, młodzieniec, który wciąż mówi o sobie.

Poznała natychmiast Sama.

— Żądał, żebym pił; ja nie chciałem, nie pamiętam okoliczności, w jakich poniosłem porażkę, miałem do wyboru pić, albo udusić się; wypiłem. Czy byłem w domu pani?

Opowiedziała mu bez patosu, jak się rzecz odbyła. Opowiadanie jej podkreślał okrzykami: „Wielki Boże!“

— Byłeś pan raczej odurzony, mówiłeś: „przykro mi“.

— A więc na serjo poślubiłem panią, a raczej pani mnie poślubiła.

Odrzekła, że bardzo serjo.

Zakrył twarz rękami i jęknął.

— Ależ to całkiem jak zły sen, jak nocna zmora.

Zainteresował ją ten punkt widzenia, lecz nie obraził.

— Zaprawdę tak, panie Leslie.

— Panie, jaki? — spytał, otwierając szeroko oczy.

— To jest nazwisko, które pan podałeś; Robin Leslie; być może przyśniło się panu...

Potrząsnął głową ze zniechęceniem.

— Nie, to jest moje imię; Robert Leslie Beausere. Nie znaczy to, abym był Francuzem, nigdy nie byłem Francuzem — rzekł stanowczo, w odpowiedzi na jej pytające spojrzenie. — Co za upiorne zdarzenie. Musiałem być chyba zatruty, zanarkotyzowany; odurzony, to jest przecie to samo.

— Byłeś pan tylko odurzony, mówiłeś: „Bardzo mi przykro“...

— W takim razie byłem trzeźwy, a jakież pani ma imię?

— Oktobra Jones; okropne, prawda?

— Upiorne — potwierdził. — Wielki Boże, co za imię!

Podniosła się nawpół urażona.

— Nie widzę w niem nic upiornego — rzekła chłodno — jest z pewnością niezwykłe.

— Niezwykłe? Jakże mam mówić do pani?

— Możesz mi pan mówić: „Oktobro“.

— Nie będę, nie chcę. Co za bydlę!

Rzecz dziwna, że Oktobra dorozumiała się odrazu, że ten ostatni epitet odnosi się do Sama.

— Nie ma pan powodu, tak się znów na to skarżyć — rzekła z urazą.

Jego uroczyste oczy spoczęły na niej.

— Pani byłaś trzeźwa — rzekł z naciskiem, — ja nie byłem w stanie stawić oporu...

Zerwała się oburzona, lecz on skinął na nią, by znów usiadła.

— Nie zaczynajmy naszego pożycia od sporów — rzekł posępnie; — chce pani jeszcze kanapkę?

Przyjęła ją, bo była głodna.

— Zapakujemy resztę zapasów, bo nie prędko zdarzy się nam spożyć równie wspaniałą jak dziś ucztę.

Spojrzał w niebo.

— Siódma godzina — rzekł — lub też coś między siódmą a ósmą. Musimy zawrócić w stronę Littlebourga, a potem iść na wschód. Bogu dzięki, napotkamy po drodze mnóstwo lasów i drzewa budulcowego, znajdziemy kryjówkę, nim noc zapadnie.

— Czego chce od pana Rudy człowiek? Czy popełniłeś jaką zbrodnię?

Uśmiechnął się oczyma.

— Tak jest, ograbiłem kantor, jak wy nazywacie, w miejscowości noszącej śmieszne miano Schenectady. To jest mój główny występek. Lecz mniejsza o Rudego, to ten mały gentleman, co rzuca noże, może być groźny. On jest nadzwyczajny, południowy Amerykanin, jak się zdaje, nazywa się Leonardo Dellamontez. A jak biega! ten malec skacze jak zając. Nigdyby pani nie odgadła, patrząc na niego, bardzo gruby, z krótkiemi nogami. Nie myślę, żeby mógł jeździć konno, ale to prawdziwy artysta.

Mówił to beznamiętnie, choć z podziwem; podziwiał człowieka, który rzucał noże. Oktobra miała przez chwilę wrażenie, że siedzą w cyrku i podziwiają razem Leonarda, popisującego się w jakiejś zabójczo-sportowej grze.

— Pan nie jesteś prawdziwym trampem? — spytała nagle.

— Przeciwnie, jestem urodzonym włóczęgą, tak pewnie, jak to, że pani istnieje, a tylko Stan Nowojorski nie jest właściwym terenem dla włóczęgi; niema zasługi, włóczyć się po galerji obrazów. Pustynia Gobi jest dobra dla włóczęgów, a także lesisty kraj poza Urzrą.

Wiedziała coś, że pustynia Gobi znajduje się w Chinach, lecz nie mogła znaleźć pomieszczenia dla Urzry.

— Mongolja! — rzekł Robin; — dobre miejsce, pełne budyjskich mnichów i psów, które obalają się na drogach, nie zostawiając na człowieku nic, oprócz zegarka.

— Ale — pytała dalej — pan wędrujesz dla żartu, dla rozrywki, są to jakby wakacje z plecakiem. Nie robisz pan tego dla braku pieniędzy, lub ponieważ pan nie chcesz pracować...

— Mam pięćdziesiąt centymów — rzekł — teraz wędruję, żeby ocalić życie.

— Dlaczego?

Potrząsnął głową.

— Nie chciałbym mówić z panią o tem, a gdybym chciał, powiedziałabyś, że takie rzeczy nie mogą się dziać.

— Ale jakie rzeczy?

— Średniowieczne historje, o których słyszy się w dolinie Rodanu lub nad Renem. Pełno ich w historji Francji, a także Anglji. Słyszała pani o królowej Elfrydzie. Co za dama! Coś podobnego spotkałem właśnie w waszem zjednoczonem państwie; można oszaleć. Niemożliwe historje, które nie mogą istnieć. Pani także jesteś jedną z nich. Wielki Boże... — Potrząsnął głową ku niej.

— Nie; naprawdę musiałem być całkiem nieprzytomny, zanarkotyzowany.

— Tylko odurzony — twierdziła; — pan zaczynasz być wojowniczy.

— Czy tak? — Zmienił natychmiast ton; jego oszpecona twarz pochyliła się. — Być może; czuję, że w stosunku do pani mógłbym stać się nim.

Zrozumiała, co chciał przez to powiedzieć, i ucieszyła się.

VII.

Drogę mieli uciążliwą. Całemi milami wędrowali przez strome wzgórza. Oktobra po większej części stawiała bokiem, to prawą, to lewą nogę, czuła parzenie w podeszwach, to znów doznawała skurczów. A wszelako ona nie niosła nic. Robert Leslie Beausere dźwigał koc i koszyk; nie niosła nawet własnego płaszcza.

Mało było rozmowy; on stwierdził, że nie zna wcale tej okolicy, ona była również mało uświadomioną: stan Nowojorski był dla niej obcą krainą, całkiem jakby to był stan Wirginja lub Ohio. Nie znała względnego położenia miast. Wprawdzie dwa razy dojeżdżała aż do wyspy, lecz sleeping pośpiesznego pociągu nie jest korzystnym punktem dla badania topografji. Znała Ogdenburg, ponieważ robiła wycieczki wzdłuż rzeki świętego Wawrzyńca i wtedy zwiedziła miasto. Littlebourg znała, jak również jego okolice, lecz znajdowali się już o jakie czterdzieści mil od Littlebourga. Elfryda! Kim była królowa Elfryda. Oktobra posiadała pobieżne wiadomości o królach angielskich. Elfryda... Alfred... coś zapewne z saksońskiej dynastji. Co mogła mieć wspólnego z trampem, włóczącym się po stanie Nowojorskim. Wszystko to było dziwaczne, podniecające. Nie mogła wzroku oderwać od szkockiej łaty; był czas, kiedy studjowała specjalnie szkockie tartany. Nie był to tartan Stewart. Stewart jest czerwony; nie był to również Kameron, bo ten ma żółtawe pasy, a może Gordon.

— Camphel! — zawołała z triumfem.

— Ech! — odwrócił się niespokojnie.

— Łata na pańskich spodniach jest z tartanu Camphel.

— Czy tak? — Odwrócił głowę, aby się przyjrzeć łacie. — Nie jestem znawcą tartanów, ale z pani strony to bardzo ładnie. Ludzie z Argyll i Sutherlandu noszą kratę podług tego patronu; najlepszy pułk rzec można. — Gdy podniósł resztki kurtki, by przyjrzeć się lepiej łacie, dostrzegła rewolwer, wystający mu z kieszeni.

— Nie jest to bezpiecznie, chodzić z rewolwerem po stanie Nowojorskim, zwłaszcza w pańskiej pozycji.

— Stokroć mniej bezpiecznie chodzić bez niego. — Nie przestając iść, mówił do niej przez ramię, raz wyrzekł nawiasowo:

— Myślę, że nie będzie pani miała żadnej trudności w otrzymaniu rozwodu.

— Nie życzę sobie rozwodu — rzekła spokojnie, i usłyszała, jak mruknął z niezadowoleniem.

— Ależ naprawdę, pan nie masz żadnej galanterji.

— Nie mam, bardzo mi przykro, czy zna pani jaki środek na oparzenie sumakiem.

— Boli pana? — pytała z sympatją.

— Troszeczkę, niema się nad czem roztkliwiać, trochę parzy, zwłaszcza, gdy jest gorąco. Hallo!

Stanęli oboje. W górze ponad nimi ktoś rąbał drzewo siekierą. Słychać było łoskot padających kłód. Znajdowali się teraz na dnie małego wąwozu, który był dostatecznie zakryty, by w razie potrzeby znaleźć przytułek w gęstwinie laurów i podobnych do paproci pewnych gatunków bluszczu. Ściany małej kotliny podnosiły się stopniowo, — spojrzawszy w górę, dostrzegł małą chałupę, ugnieżdżoną na krawędzi; nie było jednak śladu człowieka, ani nieuchronnego psa.

— Musimy obejrzeć drugi front — rzekł do niej; — lękam się, że możemy tam napotkać nieopatrznego drwala.

Zaczął się wspinać przodem; uciążliwa to była wędrówka, w pół godziny był już na skale; przed nim roztaczał się piękny widok, drzewa, krzewy, sosny, jodły — nieprzebyty las czarodziejski, rzekłbyś składowa część bajki. Po dokonaniu przezornego rekonesansu, pozwolił jej iść za sobą. Pogrążył się w chłodny półmrok rejonu, stanowiącego jak mniemał rezerwę leśną. Duże, prawie swojskie okazy ptactwa; bażant zerwał się im z pod stóp i odleciał z wielkim szelestem skrzydeł. Spotykali króliki i raz zdało mu się, że mignęła mu długim ogonem czarna łasiczka, o ile zdarzają się czarne łasice w północnej Ameryce. Znaleźli i dla siebie wcale dogodne gniazdko; małe wgłębienie na niskiem wzgórzu, zewsząd zakryte niskiemi krzakami i gęstwiną paproci.

— Nie możemy rozpalać tu ognia, lecz na szczęście nie jest to konieczne — mówił, ścieląc jej do siedzenia koc. — Być może, grunt jest trochę wilgotny, ruszymy stąd przed nocą.

— Gdzie idziemy?

— Prescott — odrzekł. — To jest nie całkiem Prescott, lecz parę mil dalej, w dół rzeki... Głodna? — Wydobył termos, resztki kawy były jeszcze ciepłe.

— Lecz jak pan poznaje, gdzie idziemy...

Dobył z kieszeni pistolet, a z pod niego mały kompas. Ponieważ gniazdko trudne było do odszukania, wyłamał gałąź młodego drzewa i zatknął ją, raczej dla niej, niż dla siebie.

— Nie będzie się pani bała zostać sama? Muszę pójść na zwiady.

Poszedł i bawił przeszło dwie godziny; sprawdziła to na swym zegareczku, który miała na ręku; powrócił, niosąc trzy wspaniałe melony, z fermy na skraju lasu, jak ją objaśnił.

— Jacyś bogacze tam żyją, ziemiańskie gentlemany. Są krowy rasowe i piękna posadzka. Wisiała na sznurze para wspaniałych błękitnych spodni; lecz nerwy mi nie dopisały i nie ściągnąłem ich. Oto gazety.

Zabrawszy melony, złożył jeszcze wizytę w szopie ogrodnika, gazety leżały tam na ławce.

— Pan jest cudowny! — rzekła.

Rozłożyła gazetę i otwarła szeroko usta.

„Złowrogi żebrak — wykrada żonę człowieka z towarzystwa.“

„Spojony w lesie przez opryszków, pan młody widzi swą piękną narzeczonę poślubioną włóczędze.“

„Wzburzenie w mieście, całą noc przeszukiwano napróżno okoliczne lasy.“

Dalej był duży wizerunek Oktobry; najmniej zaszczytne miejsce zajmowała fotografja Sama, na której przedstawiony był z idjotycznym uśmiechem na twarzy i z kapeluszem gwałtownie wciśniętym na prawe oko; zachodziła jednak żywa sprzeczność pomiędzy tym portretem a treścią napisu: „Ograbiony z narzeczonej Samuel Wasser, wybitny klubman littlebourski; pogrążony w rozpaczy po swojej stracie.“

— A to zdaje się ten huncwot, który nas pożenił? — spytał Robin.

Był to w samej rzeczy wielebny Stevens, lecz nie z profilu.

„Wielebny Stevens pod lufą rewolweru, zmuszony był dokonać ceremonji ślubnej.“

— Co! — Oczy Oktobry zabłysły. — Jak śmią! Och!

Przyglądał się krytycznie ilustracjom.

— Portret pani jest wcale niezły, inne są zbyt upiększone; podoba mi się to uczesanie.

— Powrócę do Littlebourga, by im w oczy powiedzieć, że są łgarzami. „Wybitny klubman“, „człowiek wyższego towarzystwa“. Taki błazen, nie, to już zawiele.

— Nie czytała pani jeszcze najgorszych rzeczy, proszę odwrócić kartę.

„Czy piękna Oktobra poniosła straszliwą śmierć z ręki opryszka? — oto pytanie, które zadaje sobie dziś cały Littlebourg.“

— Widzi pani! — rzekł z poważną miną — nie może pani wrócić, zrobiłaby im pani zawód, któregoby pani nigdy nie przebaczyli; musi pani przez ciąg paru tygodni uchodzić za umarłą.

„Pijany włóczęga — czytała dalej Oktobra — przyłożył lufę do skroni kapłana.“ Nie, muszę coś zrobić...

— Niech pani napisze do Timesa.

— Do Timesa! nie bądź pan niemądry, czyż pan nie widzisz, co to znaczy. Zaczną pana szukać, nie znajdziesz miejsca, gdziebyś się mógł schronić, a wreszcie gotowi zastrzelić pana jak psa, tu, czy gdzieindziej.

— Istotnie gotowi, — rzekł, jakby uderzony poraz pierwszy tą myślą. Szkoda, że nie możemy kupić wieczornych dodatków, chciałbym wiedzieć, co Gussie pisze o aucie. Chce się pani ze mną założyć?

— O co? — pytała zdziwiona.

— Że Gussie nie puści pary z ust, nie piśnie słowa, ani sylaby. — Coprawda zauważyć nas mogli ludzie z przydrożnych ferm, lecz nie byli w stanie zauważyć marki samochodu, którym kierowałem. Nie chce się pani spać?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Może później; zdenerwowała panią ta przeklęta gazeta, żałuję, żem ją przyniósł, myślałem, że to panią zabawi.

— Zabawi?

Po południu jednak zaczęła być senną i usnęła. Spała niedłużej jak godzinę, gdy się zbudziła obaczyła towarzysza swego leżącego płasko w rogu kryjówki. Rozgarnął paprocie, które mu zasłaniały widok i wpatrywał się w coś z niezmierną uwagą. Odwrócił się, słysząc jej ruchy, widziała, że zły jest na nią z powodu, iż się zbudziła.

— Widziałem kobietę, spacerującą w lesie — rzekł cicho. — Odeszła już, prawdopodobnie bawi w tej burżujskiej fermie. — Powinienbym zbić panią.

— Co? mnie zbić? — oburzyła się.

— Wszak jesteśmy małżeństwem włóczęgów, zwyczaj to dość przyjęty w naszej sferze.

Upłynęło pół godziny.

— Postąpiłem jak bydlę, przepraszam panią, nie za to, że mówiłem o biciu. Ale ta wódka, którą wlano we mnie, zrobiła mnie, jakby rzekł „Goldbukel“, dzikim. Jestem jeszcze zamroczony, lecz mogę już myśleć. Skoro ta kobieta będzie daleko, zaprowadzę panią na fermę, lub przynajmniej na pobliską drogę. Pani już sama trafi. Zatelefonuje pani do rodziny. Poproszę panią tylko o parę kłamstw, dotyczących mej osoby, jak naprzykład, że mnie pani zostawiła na szosie Ogdenburskiej, lub gdzieindziej.

— Opuścić pana!

Zdawała się być przerażoną.

— No! nie może pani przecież sypiać w lesie, uciekać przed pogonią i Bóg wie co jeszcze. Byłem samolubny, zaprawdę. Choć z drugiej strony łatwiej mi będzie bez pani. Powie im pani zresztą, że pani nie zabiłem, że jestem wcale przyzwoitym włóczęgą. Żartowałem dziś rano, mówiąc, że pani nie może wrócić, ponieważ panią umorzyli, lecz pani jako Amerykanka nie umie ocenić zmysłu humoru, jaki mamy my Anglicy.

Położyła się obok niego twarzą ku ziemi, opierając brodę na ręku.

— Niezbyt szybko pojmuję, lecz zrozumiałem, — zaśmiała się. — Ale to śmieszne.

Odwrócił się do niej, ściągając brwi. Czerwona plama na policzku prawie znikła, zostawiając tylko wąską pręgę od ucha do brody.

— Czy pan sobie naprawdę wyobraża, że pójdę na fermę i powiem. „Przepraszam, jestem skradzioną narzeczoną wybitnego klubmana z Littlebourga“. Jeśli pan coś takiego myśli, to niema pan żadnej wyobraźni.

Potarł sobie nos, marszcząc się bardziej jeszcze.

— Owszem, mam jej trochę, lecz chciałbym też wiedzieć, jak działa pani wyobraźnia.

Uśmiechnęła się lekko; pierwszy to raz widział ją w uśmiechu, i to go nieco zmieszało.

— Powiem panu — zaczęła. — Więc spotykam panią domu na owej fermie i opowiadam jej moją żałosną historję. Patrzy na mnie trochę dziwnie; rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć. Czy nie widzi pan już, jak brwi jej podnoszą się wysoko. „Moje biedne dziecko“. Przypuśćmy, że to będzie sama pani, a nie żona ekonoma. Zatelefonuje do policji, może do pani Elmer, potem przywoła swoją najbliższą przyjaciółkę, która może już jest przy niej; zamkną się w jej pokoju, by uniknąć niedyskrecji służby; opowie jej wszystko, a potem pokiwają głowami. — „Co o tem myślisz, moja droga?“ „Ależ wszak oni są małżeństwem“ — a zatem uważa pan.

Ciąg dalszy nastąpi.

JAKÓB WASSERMANN

Czarny Prorok

Powieść

Przełożył Marceli Tarnowski

Niewzruszenie szybuje czas ponad krajami i ponad pokoleniami, a jeśli druzgocze nawet miasta i tratuje lasy, a nowe miasta i nowe lasy rzuca na ich miejsce obojętnym gestem, to jednak nie zdoła nigdy odebrać ziemi ojczystej jej powabu albo jej surowości, słowem owej postaci i owego oblicza, dzięki któremu ojczyzna wypełnia duszę swego syna, naznaczając go niejako niby swoją własność i zasiewając mu w sercu na drogę żywota słowa: z mojej gliny jesteś zrobiony.

Słodka i urocza linja widnokręgu, ciągnąca się od murów Norymbergi ponad Altenbergiem ku Kadolzburgowi, niewątpliwie nie doznała zmian w ciągu stuleci; chyba że jakieś burzliwe lato zwaliło samotną topolę, albo gwałtowny wylew porwał z sobą cichy gaj sosnowy. Tam, gdzie spływają się rzeki Rednica i Pegnica, ostatnie dwa stulecia zniszczyły wprawdzie przepych lasów, ale dalej, po drugiej stronie Starej Twierdzy z jej kamieniołomami i ciemnemi jodłami, kraina frankońska rozciąga się od najdalszej pamięci jako rozległa, szeroka, spokojna, żyzna równina, gdzie dojrzewa zboże i dojrzewają kartofle i kwitnie mak i rośnie biała rzepa.

W owym jednak zakątku pomiędzy dwiema rzekami wojny siedemnastego wieku bardzo uszkodziły naturalną ozdobę gruntu. W latach trzydziestych znajdował się tutaj wielki obóz Szwedów, a zalękniony wieśniak znajdował pola swoje użyźnione krwią. Na szybkich stopach mknęła groza wojenna, a mieszkańcy elektorskiego Onolzbachu oraz Norymbergi jednakowo czuli się zmuszeni nie tracić odwagi i ufności w Boga.

Wiele lat minęło, aż stratowane pola wzmocniły się znowu i odzyskały dawną urodzajność, a nawet po zawarciu pokoju niejedna rola leżała odłogiem. Wszędzie widać było ślady zuchwałych rąk nieprzyjacielskich.

Wpobliżu kaplicy Karola Wielkiego, stojącej na Błoniu Strzeleckiem w Fürth, wznosi się ku górze olbrzymi kopiec z kamieni, a ludzie powiadają, że to Szwedzi usypali go na znak swego zwycięstwa: każdy kamień oznaczać ma splondrowany dom. Zwolna nastał znowu pokój; lękliwie podrastał i niedowierzającemi oczyma spoglądał na równinną krainę Regnicy. Lud począł zapominać, i nadszedł czas, gdy już tylko ojcowie i starzy weterani opowiadali o grozach bitwy, a nie omieszkali oni oczywiście fantastycznie przyozdabiać przeżytych niebezpieczeństw i sobie samym przypisywać czynów bohaterskich, o jakich zasłyszeli od innych. Taki był zwyczaj wojenny, odkąd istnieją wojny, a i Frankończycy byli większymi bohaterami w pysku, niż w ramieniu. Wojna nabiera barwności i wesołości, gdy lata odsunęły ją wdal, a niejeden opowiada z uśmiechem o tych samych grozach, które niegdyś wstrząsały nim dreszczem aż do szpiku kości.

Na owym kopcu szwedzkim koło kaplicy znajdował się pośród innych kamieni dobrze ociosany złom granitowy, pokryty wymalowanemi dziwacznemi, cudzoziemskiemi literami. Był to napis żydowski na pomniku nagrobnym; Szwedzi skradli go z roli bożej Żydów i rzucili pomiędzy kamienie prawowiernych chrześcijan. Żaden chrześcijanin nie ważył się jednak usunąć tego kamienia, gdyż wielka jakaś tajemnica płynęła z jego fantastycznych liter, i ludzie obawiali się, że ściągnęliby na siebie klątwę jakiegoś czarodziejskiego słowa, gdyby ręka ich dotknęła niecnego złomu żydowskiego.

Więcej niżeli trzy dziesiątki lat leżał tak ten kamień nagrobny; gdyby przełożono jego napis na język owych czasów, brzmiałby on:

„Pięknego Józefa, na którego się z przyjemnością patrzało, rozkoszy oczu naszych, już niema. Teraz Gabrjel i Michał przydani mu są jako strażnicy po prawej i lewej jego ręce. Lata życia jego były krótkie i złe. Nie doliczył ich więcej ponad siedemdziesiąt. Był on władcą, który jak Barak i Debora rządził ludem z wielką sławą. Szukał przyjemności w naukach, a śmierć jego była taka, jak jego narodziny, mianowicie bez grzechu. Gdy dusza jego piątego dnia tygodnia opuściła ciało, słychać było zawodzenie i płacz. W Bambergu zmarł radośnie, dwudziestego ósmego dnia miesiąca siwan. Teraz jest czas, kiedy w żałości i bólu serdecznym rozrywamy nasze szaty, a z oczu naszych płyną łzy. Po zgonie złożono go w Fürth na spoczynek mogilny. Oby dusza jego związana była w węźle żyjących z duszą Abrahama, Izaaka i Jakóba i Sary“.

Przez długi czas wielką zgryzotę sprawiało Żydom, że kamień z ich świętego miejsca wydany jest na takie zbezczeszczenie. Sądzili, że dusza pięknego Józefa, syna Naftalego, nie może zaznać spokoju i co nocy snuje się skargliwie wokół kopca szwedzkiego. I oni bowiem nie ważyli się usunąć kamienia, gdyż kopiec szwedzki uchodził za pewnego rodzaju symbol pokoju, a wszelkie jego uszkodzenie byłoby uważane za przepowiednię nowej wojny. Mocno gniotły jeszcze mieszczanina i wieśniaka ciężary wojenne, a wielu kazało księżom odprawiać modły o długi pokój.

Grobowiec żydowski stał więc pomiędzy nierównymi sobie towarzyszami niby cudzoziemiec z dalekich krajów. Mówił nieznanym językiem, a szlachetniejszy jego kształt kazał się domyślać, że obrobiony był do lepszej służby. Nie spoglądał wdal na równinę, lecz patrzał na niżej położone domy i w krzywe, kręte uliczki miasteczka Fürth. Nieopodal szemrała rzeka, płynąca ku diecezji bamberskiej, a gdy jesienią rozlewała żółte fale aż do krawędzi wybrzeża i dalej jeszcze poza nie, niejedna lipa na Błoniu Strzeleckiem musiała czasem postradać życie. Woda łamała je, jak kruche gałązki, i unosiła w krainę nadmeńską, splątane z pniami i gałęziami i sprzętami domowemi i najrozmaitszemi śmiesznemi przedmiotami, które oszalały potok niósł z miasta Norymbergi.

Jeśli kamień nagrobny pięknego Józefa utracił spokój boży, to zyskał natomiast mądrość świecką i znajomość rzeczy i ludzi. Poważnie przyglądał się czynom ludzi, którzy krzątali się dokoła niego, jak wróble dokoła nakrytego stołu; z jednakową cierpliwością znosił burze i zawieje śnieżne, deszcz i żar słoneczny, a gdy łagodna noc ocieniała jego szarą skroń, zdawało się, że trwa na niej jeszcze słodki odblask ostatniej purpurowej czerwieni zachodniej albo przedblask nadchodzącej zorzy porannej. Słońce bowiem świeci tej połaci ziemi o wschodzie i o zachodzie z niebywałym żarem, co uczeni przypisują obfitości oparów w tej krainie.

Zabawy, tańce i kiermasze były oddawna zwyczajem Frankończyków, którzy posiadają usposobienie lekkie i chętnie zanoszą swoje grosze karczmarzowi. Pewnego dnia jarmacznego w październiku, w siedemnaście lat po wielkim pakcie pokojowym — gdy lud bawił się na Błoniu Strzeleckiem, gdy dziewczęta rwały się do tańca, a Cyganie i grajkowie grali wesołe pieśni —, starzec pewien, który przez długi czas stał w zadumie przed żydowskim napisem na kopcu szwedzkim, skierował się w stronę błonia. Wieczór kłonił się już ku końcowi, a niebo przesycone było matową czerwienią. Błękitne cienie padały na szemrzącą rzekę, uderzenia młotów kowalskich rozlegały się z odległych ulic, a donośny dźwięk przebrzmiewał dopiero daleko na łąkach. Potem znowu zagrała muzyka: organy i smyczki, drumla i piszczałka wodna. Chłopcy śmiali się i skakali dziko dokoła starych drzew, a dziewczęta miały tego świątecznego dnia połyskujące oczy. Kupcy norymberscy wykładali niewidziane nigdy towary, a linoskoczkowie, kuglarze i Cyganie obiecywali pokazać cuda swoich sztuk.

Gdy zapadł zmrok, do pni i ruchomych domów komedjantów poprzyczepiano smolne pochodnie, a ciężki, brunatny dym wzniósł się szerokiemi falami, sunąc ku rzece, sunąc ponad łąkami, oddzielne zaś iskry z trzaskiem padały między gałęzie lip. Stłumiony blask nadawał twarzom ludzkim awanturnicze barwy, a gwiazdy na niebie bledły dla każdego, kto znajdował się w mętnym kręgu światła.

Stary Żyd przesłonił oczy prawą ręką i rozglądał się ponuro a badawczo po wesołej ciżbie. Twarz jego miała zielonkawo-białą barwę, a ruda broda spływała skąpo wokół policzków i podbródka, tworząc właściwie tylko pewnego rodzaju ramę i nadając twarzy coś obcego, coś przeraźliwie wyraźnego. Bronzowe tęczówki jego oczu błądziły niespokojnie po zaczerwienionych białkach, a chwilami źrenice rozszerzały się szybko, jak u drapieżnego zwierzęcia. Były to oczy żydowskie: pełne pośpiechu, pełne niepokoju, pełne nieokreślonego błagania, przesycone stłumioną żarliwością, to płonące w namiętności, to zatracające w melancholji cały blask, oczy szczutego zwierzęcia, które lękliwie i bezsilnie zwraca spojrzenie ku prześladowcy, albo w drżącej tęsknocie spogląda w daleką krainę wolności.

— Lud jest dziki, — mruczał, — oto tańczą i dmą w szałamaje, a jutro już Bóg będzie sprawował sąd.

Zatrzymał się, pochylił nisko ku wschodowi i wąskiemi wargami wyszeptał krótką modlitwę.

Pod lipami na błoniu dziewczyna cygańska tańczyła osobliwy taniec, a dwaj młodzieńcy przygrywali jej na skrzypkach. Tłum widzów zebrał się wielkiem kołem, a wszystkim zapierała dech ciekawość. Tak bywało zawsze w Fürth za czasów Remigjusza, Leodegara i Lukrecji; ludzie budzili się z przytłaczającego snu swoich trosk i raz do roku zdawało im się, że są zrodzeni w wolności i przeznaczeni do szczęścia.

Po Cygance wyszła powoli na środek młoda dziewczyna wielkiej piękności. Wąskie cienie błąkały się dziwnie na jej bladych policzkach i na jej czole, a wysmukła była, jak owe kobiety, które malowano we Florencji. Długa szata spływała po jej ciele, i nie poruszając ramionami, nie wznosząc oczu od ziemi, poczęła recytować skargliwym głosem.

Śpiewała jednak cicho i melancholijnie. Wargi jej drżały, a głowę schyliła na pierś. Arlekin podbiegł, przedrzeźniając ją, ale ona trwała nieruchomo jak posąg. Począł ją obwąchiwać dokoła i oświadczył wreszcie ze śmiechem, że oto jest odpowiedni Kopciuszek do jego zalotów małżeńskich. Chciał ją objąć i porwać, ale nagle zjawił się rycerz w błyszczącej zbroi, aby ją uwolnić. Śmieszek odmienił się nagle i stanął teraz w swojej prawdziwej postaci: jako djabeł. Począł walczyć z rycerzem, a gdy był już bliski zwycięstwa, ów wydobył krucyfiks z kości słoniowej i wyciągnął go ku Złemu. Szatan wydał straszliwe wycie i umknął wielkiemi susami.

W tej chwili z luki w kręgu widzów wystąpił stary Żyd, przeszedł przez niską belkę, a długi jego kaftan powiewał na wietrze wieczornym, kiedy podszedł do bladej dziewczyny. Podniosła ku niemu oczy i wstrząsnęła się nagle, jak w dreszczu gorączkowym; oczy jego wpiły się w nią jak igły, a dziewczyna wyczytała w migocącym ogniu tych oczu coś, co dawno już napawało duszę jej zadumanym lękiem. Było to takie uczucie, jakby dusza jej nagle przejęta została wczesnemi wspomnieniami dzieciństwa, które ją przeniknęły do głębi. Rudobrody Żyd położył palce na jej ramieniu, aż zacisnęły się niby kleszcze, i patrzał na nią nieprzerwanie, jakby chciał jakieś życzenie, jakiś nieprzeparty nakaz zatopić głęboko w jej sercu, aby żadna istota nie zdołała nim zachwiać.

Muzyka zamilkła, wrzawa w pobliskim kręgu ściszyła się do pomruku, wielu doznawało jakiejś nieokreślonej grozy, wielu ciekawości i wyczekiwania. Słychać było szum rzeki, wiatr przemykał między drzewami; zrzucał żółte liście, a lekki chłód powiewał przez błonie zapowiedzią jesieni.

Żyd schylił się i szepnął do ucha dziewczyny:

— Czy pamiętasz jeszcze pożogę w twojej ojczyźnie, Zirlo? Ojca, matkę, braci i tych wszystkich, co nie żyją? Zirlo, pamiętasz jeszcze?

Łzy spłynęły po policzkach dziewczyny, z rozpaczą spoglądała w przeminioną noc. A starzec mówił dalej:

— O północy, podczas najbliższej pełni, musisz przyjść do mnie; potrafisz znaleźć Zacharjasza Naara, gdziekolwiekby był. Wieszczę Mesjasza, któremu objawiły się tajemnicze głębie istotności.

Rozległ się niechętny pomruk wobec tej przeszkody w zabawie i wesołości. Zacharjasz Naar odwrócił się od dziewczyny i w chwilę potem kroczył wolno ku wyjściu Strzeleckiego Błonia. Nikt go nie znał, wszyscy ustępowali mu z drogi, i szybko pomknęło z ust do ust słowo: Ahaswer.

— Tak, tak, biega po ziemi, jak ten obłąkany Żyd, — rzekła jakaś pomarszczona starowina, węsząc chudym nosem w powietrzu. Skrzekliwym głosem powiedziała młodym ludziom wiersz o Żydzie Ahaswerze, znanym od pradawnych czasów, który chodzi po tym świecie,

mówiąc wszystkiemi językami, gardząc pieniądzem, a którego nie należy potępiać, gdyż Bóg tak go natchnął, że o Chrystusie, Jego Synu, mówi tylko dobrze i bez szyderstwa, a trawi go niezmierzona męka i lękiem napawa go blask słońca, więc jakikolwiek byłby sąd człowieka, należy pozostawić go Bogu, który jeden tylko zna serce.

Zacharjasz Naar szedł przez ciemne ulice miasteczka ku świątyni Żydów. Odbywało się tam jeszcze nabożeństwo, gdyż było to przedwieczerze Święta Pojednania.

Niebawem stanął niedostrzeżony wśród tłumu szepczących modlitwy, w chustach modlitewnych na ramionach, i płonącemi oczyma wpatrywał się w ołtarz. W miejscu tem nie panował spokojny nastrój świąteczny. Każdy zdawał się służyć swemu Bogu dla siebie, a chwilami powstawała nieokreślona wrzawa, z której wybijał się jakiś krzyczący czy jakiś zrzędzący głos. Zatęchły zapach jaskiniowy wypełniał dom boży; był to zapach starej skóry, starych szat, dymu i zgniłego drzewa. Dzieci stały dokoła i z tępem nabożeństwem wlepiały oczy w książki o zbronzowiałych kartach. Wnętrze świątyni podobne było do podziemnego sklepienia spiskowców, do pustelni ascetów; niepodobna tu było znaleźć ani odrobiny radości życia i ani odrobiny radości bożej. Świece dymiły, a kto wchodził ze świeżego powietrza, zdawało mu się, że dostał się do pełnego dusznych wyziewów jaru.

Skończył się ostatni kadisz; wszyscy gotowali się do odejścia. Wówczas Zacharjasz Naar zbliżył się do ołtarza i podniósł rękę: znak, że chciał mówić. Zrobiło się cicho, i wszystkie oczy zwróciły się ku przybyszowi. A on zaczął mówić — nie głośno i napozór raczej do siebie samego. Początkowo mówił szybko rzucanemi słowami o poniżeniu i żałosnej nędzy ludu żydowskiego; o ucisku, jakiego on doznał, i o rozproszeniu na wszystkie strony świata. Potem, gdy się upewnił, że wszyscy słuchali uważnie, głos jego stał się donośniejszy, wyzbył się obojętnego tonu, a oczy jego poczęły błyskać. Wzywał starego Boga Żydów, który zgromadził obietnice za obietnicami, a zsyłał nędzę na swój naród wybrany i męki dopustów, gorszych, niżeli za dni plag egipskich.

Zapanowała cisza śmiertelna. Nawet mury zdawały się słuchać i pożądliwie wsysać słowa. Mówca ciągnął:

— Gniew Pana zapłonął przeciwko Jego ludowi, i wyciągnął dłoń swoją i bije swój lud, aż góry drżą, a trupy ich leżą niby śmiecie na ulicach. Czyż nie obwiniali nas: zatruwacie nasze studnie? czyż nie wyrzynali naszych braci tysiącami? Czyż nie wołali: bierzecie krew dzieci naszych na ofiarę przy święcie Paschy? bierzecie krew i używacie jej dla swoich ciężarnych kobiet? czyż nie wypędzili nas ze swoich miast i nie popalili naszych domów? i nie zrabowali naszego mienia? Czyż nie musimy wędrować, wyzuci z praw, a wielu nie może znaleźć namiotu, jak Kain, który zabił swego brata? Czyż nie wplatali nas w koło i nie wydawali oprawcom niby chore bydło? nie palili naszych dzieci, nie hańbili naszych żon, a gdy przyszła zaraza, nie szaleli pośród nas straszliwiej, niżeli zaraza? Mimo to wszystko nie odwrócił się gniew Pana. Ale teraz, teraz wzniesie on sztandar ludowi pogańskiemu zdaleka i zwoła go z krańca ziemi, i oto patrzcie, pędzi, biegnie ów lud. Niema pośród niego zmęczonych ani ociągających się; nie oddaje się on już snowi ani drzemaniu; nie pęka też pas jego lędźwi, ani pęka rzemień jego obuwia. Kopyta jego rumaków są jako żwir, a koła jego niby huragan. Głos ma lwicy i wyje jako młode lwięta i warczy i chwyta łup i unosi go, a nikt nie zdoła ratować. I zagrzmi nad Judą jako grzmot morza, a kiedy spojrzy na ziemię, oto stała się budząca grozę ciemność, a światło zamroczyło się w sklepieniu nadziemnem. Zbliżcie się, o poganie, aby usłyszeć, i wy ludy, uważajcie! Niechaj słucha ziemia, co ją napełni, i wszechświat, i wszystko, co z niego powstało. Bowiem gniew zbudził się w Panu przeciwko poganom, przeznaczył ich na rzeź, a pobici ich będą wyrzuceni, a ich trupy — wznieść się ma ich smród i góry rozpłynąć się mają od ich krwi. Gwiazdy mają się skruszyć i jako pergamin zwinąć się ma niebo. Ale nasze wygony mają być wesołe, radować się mają nasze stepy i kwitnąć jako narcyzy. Kwitnąć mają, tak, kwitnąć i radować się, radować się i śpiewać! Wspaniałość Libanu będzie im dana i przepych Karmelu. Wzmocnijcie osłabłe członki i chwiejne kolana wzmocnijcie! Powiedzcie tym, co są zatroskanego serca: bądźcie silni! Rozjaśnione będą oczy ślepych i uszy głuchych rozwarte! Jako jeleń skakać będzie chromy i radować się będzie język niemego. Baczcie bowiem: powstał mąż w małoazjatyckiem mieście Smyrnie, ten jest prawdziwy Mesjasz, a Królestwo Boże jest bliskie! Czyż nie słyszeliście jego wołania z wybrzeży morza Śródziemnego? Nowe dzieło zbawienia poprzedza go, i nastanie olam ha tikun. Istotę Bożą on jeden poznał, Sabataj Cwi! Zbierajcie się, bracia, podnieście się, podnieście żony wasze, uczcie dzieci wasze wymawiać jego imię, a sieroty wasze pocieszajcie jego słowem! W roku pięć tysięcy czterysta ósmym świata rozpoczął się okres zbawienia, i w tym roku objawił się nam Sabataj Cwi. Sprawił on cuda ponad cuda, a Żydzi krainy wschodu wykrzykują na jego cześć.

Straszliwy tumult przerwał mówcy. Dawno już wieść o tem wydarzeniu dotarła do Frankonji, ale zawsze były to tylko niejasne pogłoski, tajemnicze napomknienia: przynoszone przez wędrownych mnichów, przez wędrownych Żydów lub Cyganów. Był to tylko głuchy poszum dalekiej burzy, który mógł wprawdzie działać na dusze w nocnej ciszy i rozmarzeniu, ale światło dnia czyniło powątpiewającym i niewierzącym. Po raz pierwszy uderzyło to teraz w uszy Żydów jak dźwięk trąb, jak donośny, hałaśliwy zew bojowy, jak szczęk tysięcy tarcz i mieczów — nawoływanie do powstania. Zajaśniało wokół ich oczu, dokoła zrobił się dzień, bolesna niedola ucisku zdawała się bliska końca: słońce, wolność, boskie wybranie do wielkich spraw, blask i radość i zachwycona tęsknota — cudowne spełnienie tysiącoletniej służby wiary. Przeniknęło to w ich uciemiężone dusze niby wezwanie do nowego porządku świata; chłopcy ujrzeli się mężami, mężowie zaciskali pięści, a zimny i gorący dreszcz przebiegł im po grzbietach.

A gdy pierwszy tumult przycichł, stłoczyli się wokół nieznajomego, zarzucając go pytaniami o szczegóły i słuchając, słuchając. Zapomniana była godzina powrotu do domów, zapomniane nakazy dnia postu; kobiety wysuwały się ze swoich przegród i nasłuchiwały z rozpalonemi policzkami. W wyobraźni swej widziały go żywego, owego tajemniczego proroka ze Smyrny, który w jasny dzień posuwał się po niebie dziejów niby rozżarzony meteor, i porwany mistyką lurjańską, sądził, że sprowadza koniec stuleci.

Zacharjasz Naar opowiadał, z przejęciem i oddaniem, niby śniący: jak Sabataj udręczał swoje ciało i latem

czy zimą, w dzień czy w nocy kąpał się w morzu. Jak ciało jego nabrało od wody oceanu cudownego zapachu, a oko jego stało się od tego jasne. Nigdy nie dotknął kobiety, a chociaż poślubiony był dwum żonom, unikał ich i odtrącił je niebawem. Poważny i samotny był jego duch, posiadał też piękny głos, którym śpiewał wiersze kabalityczne albo własne poezje. Rok tysiąc sześćset sześćdziesiąty szósty określał jako rok mesjaniczny; Żydom miał rok ten przynieść nową wspaniałość i powrócić ich do Jerozolimy. Dusza jego radośnie oddawała się słodkiemu oszołomieniu świadomości bożej. Wypędzono go ze Smyrny, ale oto żarzący się ogień buchnął niszczycielskim płomieniem: upokorzenie jego stało się jego wielkością i objawieniem. Kazał wyprawić w Salonikach ucztę i uroczyście poślubił w obecności przyjaciół swoich Pismo święte: Tora, córa niebios, zjednoczona została z synem nieba nierozerwalnym związkiem. Pięćdziesięciu talmudystów jadło przy jego stole, a żaden ubogi nie odchodził głodny od jego drzwi. Wylewał potoki łez przy modlitwie, i nocami całemi śpiewał psalmy przy jasnym blasku świec. Śpiewał też pieśni miłosne. Śpiewał pieśń o pięknej córce cesarskiej Melliseldzie o spływających falą włosach i łagodnem obliczu, o słodkim głosie i twarzy połyskującej jak miecz, o powiekach niby łuki ze stali, wargach jak korale i ciele tak bladem, jak mleko.

Dzieci szły za nim po ulicach, a matki sławiły jego imię. Kazał obwieścić, że od rzeki Sabation powiedzie dziesięć pokoleń do świętej krainy: jadąc na lwie, który będzie miał w paszczy siedmiogłowego smoka...

Zatopieni w przejmującym czarze, skierowali się Żydzi ku domowi. Objęła ich gorączka oczekiwania, płynąca z kraju do kraju niby oszołamiający strumień. Tej nocy nikt nie mógł spać.

Powiadano wówczas, że Pan Światów rozwiera swoje wrota, aby przyjąć proroka, albo że zbiera gwiazdy z nieba, jakby to były grona na latorośli winnej, lud zaś widzi szlachetne światło, a cienie śmierci znikają przy nim; zaćmionym jest przepych królów i poszum ich harf; prorok wstępuje ku niebu i ponad gwiazdami ustanawia swój tron; wiele głosów woła ku niemu: Strażniku, jak daleko posunęła się noc? A on obwieścił już jutrznię poranną. W jego pobliżu nie było już nic powszedniego, książę zdawał się równy wieśniakowi, żebrak sędziemu, żadna dłoń miłująca nie wyciągała się już do chorego, a wzniosłą było rzeczą, znosić wszystkie męki ascezy i w pokorze wić się przed wschodzącem słońcem łaski.

Szkoła kabalistów sądziła, że jaśniej rozumie objawienie. Z boskiego łona wykwitła nowa osoba boska, prawdziwy król, Mesjasz, zbawca i oswobodziciel świata, a panowanie metatronu skończyło się. Napisane jest jednak w księdze Sohar, powiadali: Metatron jest pierwszem z pośród stworzeń, odblaskiem Boga; jest to środkowa kolumna, która czyni niebiańskość doskonałą; jest to pierwiastek łączący pośrodku. Prawdziwy bowiem Mesjasz jest ucieleśnionym praczłowiekiem, Adamem Kadmonem z Pisma, częścią Boskości.

Nadszedł dzień, pochmurny i mglisty poranek jesienny. Chłodny, suchy wiatr pomykał po ulicach. Chrześcijańscy mieszkańcy byli zdumieni na widok podniecenia Żydów. Rabi Bärmann biegał blady od domu do domu. Rabi Salman Klef stał godzinami przed swoim domem, czytając pożółkły pergamin. Salman Ulman Käsbauer ożywionym głosem wzywał wczorajszego przybysza. Hutzel Davidla utykał w zadumie dokoła, a Boruchs Klöss niezmordowanie przypominał o świętym dniu postu i że trzeba iść do domu modlitwy.

Około godziny dziewiątej od strony miasta Norymbergi zjawił się zakurzony goniec. Przywiózł on pismo. Michel Chased, chazan, wziął je od niego, a Żydzi, mężczyźni, kobiety i dzieci zebrali się dokoła coraz to rosnącą gromadą, gdy zaczął czytać donośnym głosem. Pismo pochodziło od słynnego Samuela Prime, jednego z uczniów Sabataja, i brzmiało:

„Jedyny i pierworodny Syn Boży, Sabataj Cwi, Mesjasz i zbawiciel ludu żydowskiego, niesie wszystkim synom Izraela pokój. Gdyście się stali godni ujrzeć wielki dzień i spełnienie słowa Bożego przez proroka, skargi wasze i westchnienia zmienić się muszą w radość, a wasze posty w dni weselne. Albowiem nie będziecie więcej płakać. Radujcie się śpiewem i pieśniami i zamieńcie dzień strapienia i żałoby w dzień radości, albowiem ja się zjawiłem".

Śmiertelna cisza zapanowała po tych słowach. Żądanie proroka było dla tego ludu, który z niewzruszonym fanatyzmem przywiązany był do tradycyjnego, odziedziczonego prawa, czemś straszliwem i niesłychanem. Wolf Käsbauer zbielał jak śnieg i bełkotał hebrajską modlitwę. Wielu innych, zwłaszcza kobiet, modliło się wraz z nim. Ale byli jednak i tacy, którzy pełni byli zapału dla nowej i wielkiej sprawy. Wołali hallelujah, a oczy ich radośnie błyszczały na myśl o tym, który miał przyjść. Mesjasz, ponieważ był tak daleko, urastał przed ich oczyma do niezmierzonych rozmiarów, głowa jego wznosiła się złociście w obłokach porannych, dusza ich była nim wypełniona, ponieważ ciążyło na nich jarzmo niższej służebności, pogarda całego narodu, całego świata. Dniami całemi głucha trwoga ciążyła nad Żydami w Fürth; nie śmieli wychodzić ze swoich domów, poddawali się zupełnie uczuciom przygnębienia albo rozgoryczenia albo skruchy albo nadziei.

I oto drugiego dnia po święcie nadeszła wiadomość z północy, że słynny Żyd hamburski Manoel Texeira, zaufany królowej Krystyny Szwedzkiej, publicznie oświadczył się w synagodze za Mesjaszem. Z Amsterdamu, z Londynu, z Pragi, z Moguncji, z Frankfurtu i z Wiednia nadchodziły hołdy dla proroka, a dziwne znaki na niebie budziły grozę i w sercach chrześcijan. Żyd Wassertrüdinger z Fürth, który opiekował się ciężarnemi kobietami i donośnym głosem czytał modlitwy, ujrzał w wieczór sobotni, pierwszej soboty miesiąca tibet, wielką, rosnącą łunę na północnej stronie nieba. Oczy jego zwilgotniały z przerażenia, i na kulawej nodze pobiegł, jak mógł najszybciej, do domów żydowskich, wołając nawpół zdławionym głosem, że Bóg dał znak. Mnóstwo ludu zebrało się w milczeniu nad brzegami Regnicy i Pegnicy, a chrześcijanie i Żydzi stali w jednakowej trwodze, w jednakowem skupieniu mistycznem ramię przy ramieniu.

Zacharjasz Naar zjawił się znowu, padł przy sitowiu rzecznem i zwrócił żółtą twarz o rozwartych oczach ku ogniowi niebieskiemu. Począł śpiewać błagalną modlitwę, skargliwe wezwanie do syna bożego ze Smyrny, a cała gmina chórem przyłączyła się przy ostatniem wierszu do jego śpiewu. Monotonnie szemrała rzeka, płynąc przez kraj, a bledniąca czerwień na firmamencie niepewnem światłem opromieniała szaty powracających w słodkiem zachwyceniu Żydów.

Ciąg dalszy nastąpi.

Prawdziwe opowiadania z życia*)

(Od naszych czytelników)

MAREK ROMAŃSKI

Van Veyden robi dobry interes.

W dole, wieczornym zgiełkiem huczała biała Hawana, gorejąc łuną świateł, płonąc, jak krater wulkanu.

Van Veyden, stojąc przed wielkim lustrem w eleganckim apartamencie luksusowego „Plaza Hotel“, badawczym wzrokiem obrzucił raz jeszcze swą postać.

Uśmiech przewinął się po jego pełnych wargach. Ekspertyza bowiem wypadła nader dodatnio. Nieposzlakowany przedział rozdzielał ciemne włosy, frakowy strój podnosił smukłość jego postaci, światło elektrycznych żarówek przeglądało się w czerni lakierków.

Van Veyden spojrzał na zegarek. Miał jeszcze całe dziesięć minut czasu do spotkania z piękną miss Mary w hotelowym Hallu. Rzucił się na fotel i zapalił papierosa. Z rozkoszą namiętnego palacza zatonął w kłębach dymu.

— Zdaje mi się, że dziś dotrę do celu! — szepnął sam do siebie. — A chciałem już wyjechać z Hawany. Co prawda, reprezentacja kosztuje tu więcej, niż gdzieindziej....

Van Veyden miał zwyczaj rozmawiania z samym sobą, ilekroć przystępował do jakiejś „roboty“ i gdyby w pokojach hotelowych, w których zamieszkiwał, umieszczone były mikrofony podsłuchowe, niewiadomo, czy młody człowiek znajdowałby się w danej chwili w Hawanie. Ale w pokojach hotelowych zazwyczaj nie było mikrofonów i dlatego też Van Veyden mógł monologować zupełnie bezpiecznie.

Nie miejmy złudzeń! Van Veyden, mówiąc o tem, że dojdzie do celu, nie myślał bynajmniej o szafirowych oczach miss Mary, lecz raczej o sznurze pereł, jakie młoda amerykanka nosiła na swej śnieżnej szyi i o pierścieniu z wielkim szafirem, który już dawno otaksował wzrokiem znawcy.

Van Veyden bowiem nie był wcale Don Juanem, mimo, że miał po temu wszelkie dane. Van Veyden był poprostu niebieskim ptakiem i w tym właśnie charakterze dopalał papierosa w eleganckim apartamencie hotelu „Plaza“ w Hawanie.

Był czas, kiedy Van Veyden, z pochodzenia Holender, naturalizowany w Stanach Zjednoczonych od kilku pokoleń, walczył, jako oficer amerykański w dalekiej Francji, ale wszystko ma na świecie swój koniec, skończyła się więc i wojna. Van Veyden, młody człowiek, który zaledwie skończył ćwierćwiecze swego istnienia, zdjął mundur amerykańskiego oficera i zarazem doszedł do przekonania, że jest zupełnie wytrącony z życiowej równowagi. Próbował pracować w ten i inny sposób. Nie szło! Miał poprostu pecha, djabli brali wszystko, czego się tknął.

Trwało to jakiś czas, aż wreszcie Van Veyden uznał, że jest to nudne i niepraktyczne. Gdy Van Veyden doszedł do tego przekonania — postanowił zostać „niebieskim ptakiem“ i wkrótce zrozumiał, że było to może jedyne zajęcie, z którym mu było do twarzy. Miał zresztą poza nieposlednią męską urodą — niepośledni spryt i powodzenie dopisywało mu stale.

Miss Mary Stalinger miała być jego nową ofiarą. Miss Mary była córką jakiegoś tam bogatego przemysłowca amerykańskiego i bawiła na wywczasach w Hawanie z jakąś tam krewną, czy ciotką — osobą zdaniem Van Veydena piekielnie nudną i antypatyczną. To była właśnie jedyna przeszkoda. Nie pozostawiała ona prawie dwojgu młodym sekundy „sam na sam“ lubo w rozmowie z Mary przyznawała, że Van Veyden jest — „bardzo!... bardzo!...“

Van Veyden rzucił okiem na mały zegarek, umieszczony na przegubie ręki. Dziesięć minut minęło. Młody człowiek wstał i raz jeszcze mimowolnie spojrzał w lustro.

— All right!...

Miss Stalinger oczekiwała go już w hallu hotelowym. Była w całem tego słowa znaczeniu ładną dziewczyną, ale Van Veyden nie zwracał wcale na to uwagi. Wymieniając z nią silny uścisk dłoni, sprawdził z zadowoleniem, że miss Stalinger miała na szyi ów wspaniały sznur pereł. Duży pierścień z szafirem znajdował się również na swojem miejscu.

— Jest pani sama, miss Mary?

— Tak, ciocia czuje się nieco niezdrową i nie opuszcza pokoju. Zdecydowała się oddać mnie panu pod opiekę na dzisiejszy wieczór.

Van Veyden zdołał zaledwie stłumić błysk radości, jaki zapłonął w oczach na dźwięk tych słów. Wszystko układało się znakomicie. Jeżeli tak dalej pójdzie, ów sznur pereł i pierścień z szafirem będą w najbliższym czasie w jego kieszeni, on zaś sam...

Van Veyden zszedł z swą piękną towarzyszką do restauracji hotelowej i obejrzał się za zacisznym stolikiem. Znał Mary Stalinger zaledwie od tygodnia, ale niemniej byli już dobrymi przyjaciółmi. Van Veyden, który przedstawił się dziewczynie, jako urzędnik dyplomacji amerykańskiej, czynił wszystko tego wieczoru, by podobać się dziewczynie, rozwinął cały kunszt sztuki uwodzicielskiej.

Z wielką radością zauważył, że starania jego wywierają zamierzony skutek. Miss Mary patrzyła na niego, jak w obraz. Butelka dobrze zamrożonego szampana znakomicie pomagała do podniesienia nastroju.

Orkiestra restauracji-dancingu zazełkała się melodyjnem, melancholijnem tangiem argentyńskiem. Van Veyden wstał i poprosił swą towarzyszkę do tańca.

Miss Mary Stalinger tańczyła z namiętnem zapamiętaniem. Zasługiwała w zupełności na to, by stracić dla niej głowę, ale Van Veyden nie tracił głowy, nie dał się oczarować urokowi jej młodego ciała. Nie chodziło mu przecież o sentyment, lecz o interes. A interes ten wymagał, by ani na chwilę nie stracić panowania nad sytuacją.

Van Veyden pochylił się lekko ku dziewczynie.

— Miss Mary! Czy pani wie, że kocham panią bezgranicznie?

Podniosła na niego swe przejrzyste szafirowe oczy.

— Wiem o tem! — odparła z prostotą, a gdy po ukończeniu tanga składał pocałunek na jej ręce, drobne paluszki zacisnęły się znacząco na jego dłoni.

— Czy pozwoli pani... czy pozwolisz Mary, bym pomówił z twoim ojcem gdy przybędzie do Hawany?... Niedługo otrzymam poważne stanowisko w jednej z większych placówek dyplomatycznych w Europie.

Coś jakby uśmiech osiadło na jej kształtnych wargach.

— Pomów z nim, darling! Sądzę, że nie będzie miał nic przeciwko tobie.

Van Veyden uśmiechnął się, jak człowiek szczęśliwy. Żeby ona wiedziała, ta naiwna gąska, o czem myślał w tej chwili! Doszedł do wniosku, że zarówno naszyjnik pereł, jak i szafirowy pierścień są już jego własnością.

Wkrótce postawił na swojem i znalazł się wraz z Mary w zajmowanych przez nią pokojach. Zaprosiła go do siebie na papierosa. W dwudziestym wieku młodzi ludzie nie potrzebują się przecież liczyć z przesądami, jakie tam kiedyś wyznawano, a zresztą — mieli sobie przecież tyle do powiedzenia.

Mały, nieustannie uśmiechnięty murzynek w opiętym i złoconym uniformie boya hotelowego zjawił się bezszelestnie, jak cień, i dostał polecenie podania czarnej kawy.

Z pod purpurowego abażuru lampa elektryczna rzucała na pokój ciemnokrwawe blaski. Murzynek w uniformie boya hotelowego, powrócił z czarną kawą, poczem zamknął starannie drzwi za sobą.

Siedzieli na miękkiej sofie, pokrytej puszystym dywanem. Van Veyden przyciągnął delikatnie do siebie dziewczynę. Wargi ich zetknęły się w długim, namiętnym pocałunku. Pierś dziewczyny falowała szybkim oddechem. Duże szafirowe oczy zakryły się firankami rzęs.

Van Veyden nie tracił jednak ani na chwilę panowania nad sobą. Ręka jego delikatnie nacisnęła zameczek, zamykający sznur pereł, i perły bezszelestnie osunęły się na dywan. W sekundę potem znajdowały się w kieszeni Van Veydena. Przy następnym pocałunku pierścionek z szmaragdem przeszedł z drobnego paluszka dziewczyny do rąk Van Veydena.

—...dam!

Ciche pukanie do drzwi. Odsunęli się od siebie.

*) Prosimy naszych czytelników o „prawdziwe zdarzenia z życia“, które umieszczać będziemy w tym dziale, celem nawiązania korespondencji z naszymi przyjaciółmi i tychże między sobą. Redakcja.

— Wejść!

Murzynek wyrósł czarną plamą na jasnem tle hotelowego korytarza.

— Pilny telefon do pana!

Van Veyden podniósł się z sofy.

— Wybacz, darling! Przygotuj kawę, zaraz powrócę!

Spokojnym krokiem wyszedł z pokoju miss Stalinger. Rachunek hotelowy był już uregulowany. Taksy czekało przed hotelem.

— Na lotnisko! — rzucił krótko Van Veyden.

* * *

Samolot, szybujący pod gwiaździstem niebem, nie osiągł jeszcze Key West, gdy Van Veyden stwierdził z przerażeniem brak portfelu z sumą 6000 dolarów oraz złotego zegarka, wysadzanego brylantami. Poddał natychmiast ekspertyzie perły i pierścionek z szmaragdem, zrabowany miss Stalinger.

Perły i szmaragd były fałszywe.

Van Veyden przygryzł wargi.

* * *

Było to w pół roku potem. Van Veyden przemierzał właśnie hall jednego z eleganckich hoteli nowojorskich, gdy otworzyły się drzwi windy hotelowej.

Z windy wysiadła młoda dziewczyna w towarzystwie starej, brzydkiej kobiety. Van Veyden rzucił na nie okiem i posiniał. Była to jego znajoma z Hawany — miss Mary Stalinger z swą ciotką.

Mary Stalinger poznała go również. Spojrzenia ich skrzyżowały się.

Van Veyden opanował się pierwszy. Z właściwą sobie wytwornością, pochylił głowę w głębokim, pełnym szacunku ukłonie.

Prywatna sekretarka.

(J. S., Warszawa.)

Jesteśmy w biurze wielkiego urzędu. Pracuje kilku urzędników, między innymi też sekretarka.

Kobieta po trzydziestce. — Jak los ukształtował jej życie?!!

Żona ogromnie bogatego posła do Dumy. Na przyjęciach koncertują najsłynniejsi śpiewacy i artyści dramatyczni świata, sprowadzani za bajońskie sumy do Petersburga.

Rewolucja. Szczęśliwie przedostaje się przez granicę, zabierając w pośpiechu nieco kosztowności. Utrzymuje się przez jakiś czas, spieniężając je po kolei.

Po krótkim czasie zasoby się wyczerpują. Z czego żyć?...

Decyduje się wyuczyć stenografji i pisania na maszynie. Szczęście jej dopisuje, otrzymuje posadę.

Dzięki swym nadzwyczajnym zdolnościom, zwraca na siebie uwagę szefa.

Pewnego razu pyta ją mimochodem: „Pani się nazywa..., wszak w Petersburgu żył swego czasu poseł, na którego mi zwrócono uwagę z powodu jego ogromnego majątku.

„Jestem jego żoną.“

„Obecnie tutaj? przy takiej pracy? Nadzwyczajne... nadzwyczajne...“

Czas mija. Pewnego razu pyta ją szef, czyby nie chciała zostać jego osobistą sekretarką...

„To zależy od gaży...“ odpowiada urzędniczka.

„No oczywiście... mojej zmarłej małżonce wydzielałem też nie mało na gospodarstwo... Otóż niech pani posłucha!“ Nie jesteśmy już oboje w tym wieku, gdzie się mówi dużo niepotrzebnych rzeczy przy wyznaniu miłosnem... Czy się Pani zgadza...?“

Okręt natrafił na mieliznę, los go znowu zepchnął na głęboką wodę...

Magazyn powieściowy ukazuje się co 2 tygodnie. Do nabycia we wszystkich księgarniach kolejowych „Ruchu“, kioskach, sklepach tytoniowych, oraz we wszystkich księgarniach. Cena pojedyńczego numeru 50 groszy — w prenumeracie: kwartalnie zł 2.50, półrocznie zł 5.—, rocznie zł 10.—. Abonenci cało- i półroczni korzystają z bezpłatnej premji 2 wzgl. 1 książki. Prenumeraty przyjmują wszystkie miejsca sprzedaży jakoteż administracja. Czytelnicy, którzy zgłoszą pisemnie swe zamówienie do administracji Bydgoszcz, Marsz. Focha 6, otrzymać mogą numer pierwszy jako okazowy za 35 groszy. Cena ogłoszeń: cała strona 100 zł, 1/2 str. 55 zł, 1/4 str. 28 zł, 1/8 str. 15 zł, drobne ogłoszenia za wiersz petitem 20 groszy.

Sprzedaż dla Francji: Hachette, Messageries des Journaux, Paris 2 e.
„ „ Č. S. R.: Melantrich Praha.
„ „ U. S. A.: Polish Book Importing Co. Union Square New-York.
„ „ Austrji: Wien IX, Schulzstrassnitzkygasse 13.

Redaktor odpowiedzialny: Roman Dąbrowski, Warszawa, Koszykowa 47 - Adres redakcji: Warszawa, Ogrodowa 26
Nakładem Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Książki, Stanisławów - Drukarnia A. Dittmann T. z o. p., Bydgoszcz - 33795